

Laureat nagrody Nobla

Tegoroczną literacką nagrodę Nobla otrzymali wspólnie: Nelly Sachs — 74-letnia pisarka niemiecka, przebywająca na emigracji w Szwecji i Samuel Józef Halewi Agnon — 78-letni pisarz izraelski polskiego pochodzenia.

Samuel Agnon należy do wybitnych przedstawicieli współczesnej literatury hebrajskiej. Jego dzieła, tłumaczone na wiele języków, docierają do czytelników na całym świecie. Ten wielki epik powraca wielokrotnie w swych utworach do rodzinnych stron, do miasteczka w Gal-

szce kroki kieruje do bożnicy. Tu, w czasie modłów i rozmyślań, odbywa się konfrontacja pisarza z młodością, z dzieciństwem. Nastrój smutku, jakiegoś nieokreślonego tragizmu, pogłębiają w pisarzu opowieści Żydów o antysemickich ekscesach endecji. Żydzi zapowiadają wyjazd z miasteczka. Nie pomagają perswazje pisarza ani jego odwoływanie się do lat dzieciństwa. Wiekowy starzec odpowiada mu: „Możesz tu zostać, możesz zatrzymać ten oto klucz od bożnicy”.

Ów klucz staje się symbolem. Pisarz przed opuszczeniem miasteczka szuka następcy, któremu mógłby go

Pisarza powroty do Galicji

efi, do kraju, który jest dla niego niewyczerpanym źródłem natchnienia.

„Chcę mi się spróbować owoców z drzewa rosnącego w naszym mieście... pragnie człowiek tego tylko w tym mieście, w którym się urodził. Słyszę śpiew ptaka, ten ptak przyleci na świat także w tym mieście” — pisze w jednym z utworów.

Agnon czerpie pełnymi garściami ze wspomnień dzieciństwa, z dziejów Żydów w Polsce, z patriarchalnej żydowskiej pobożności, z jej symbolizmu, z tragicznych losów swego narodu. Do tej tematyki i rodzinnych stron nawiązuje w „Legendach sojfera”, „Agudzie”, w eposie „Pół nieba, pół chmury” i innych.

Akcja tej ostatniej powieści opiera się na osobistych doznaniach autora. Jak inne, zawiera dużą dawkę symboliki. Dla Agnona przeszłość jest często przyszłością. Stąd też wielu uważa go za konserwatyście i ortodoksa.

A oto treść powieści „Pół nieba, pół chmury”. W 1929 roku w Jerozolimie dochodzi do zamieszek. Ulega zniszczeniu dom pisarza. Na pewien okres wysyła on żonę i dzieci do krewnych, a sam jedzie do małego, rodzinnego miasteczka w Polsce. Przybywa tu w przeddzień święta Jom-Kipur, toteż swe pierw-

przekazać. W międzyczasie zaprzyjaźnia się z Jerochoamą — młodym Żydem deportowanym przez Anglików z Palestyny za swe lewicowe przekonania. Pisarz opuszczając kraj przekazuje klucz nowo narodzonemu dziecku Jerochoama i Racheli. Tego syna żydowskiego komunisty i dziewczynę z polskiego, galicyjskiego miasteczka, czyni Agnon spadkobiercą przeszłości żydowskiej w Polsce. Jest w tej darowiźnie i stosunku pisarza do komunisty coś z osobistej zazdrości. Jerochoama potrafił spalić za sobą mosty wiążące go z przeszłością, swą osobą reprezentuje dzień dzisiejszy, na co on — pisarz — nie może się już zdobyć.

Agnon od zarania swej twórczości wykłada własny styl pisarski, operuje swoistymi cechami i środkami wyrazu. W jego utworach obok stylizowanej naiwności starych podań biblijnych i chasydzkich legend jest subtelna parodia, element realizmu, a ponad wszystko — symbolizm.

Trzeba jednak wiedzieć, że tenże sam pisarz, czerpiący z przeszłości, jest jednocześnie autorem nowoczesnych opowiadań o dużym wydźwięku społecznym, a m. in. noweli: „Le-karz i porzucona”, „Dziedziczka i domokrążca”, „Zwykła historia”.

ZB. ZIEMBOLEWSKI

Wojciech Pasterniak

NAUCZYCIELKA NARODU

(W 100 rocznicę debiutu Elizy Orzeszkowej)

Rok Sienkiewiczowski, rok hołdów, uroczystości i prac naukowych poświęconych twórczości Wielkiego Polaka i artysty, zbiega się z inną jubileuszową okazją, o której — rzecz może paradoksalna — prawie się nie mówi. Przed stu laty zadebiutowała na łamach „Tygodnika Pustrowanego” Eliza Orzeszkowa, znakomita współzawodniczka autorka „Trylogii” w ubieganiu się o nagrodę Nobla, pisarka, której zasług dla rozwoju kultury narodowej nie można nie doceniać. Te fakty niech będą usprawiedliwieniem niniejszych uwag.

Twórczość Orzeszkowej raczej wyjątkowo zjawiała się na warsztacie badawczym historyków literatury. Dopiero lata powojenne przyniosły szereg poważnych studiów o „młodszej siostrze Mickiewicza” — jak ją nazywano — i jej niemalym, bo liczącym około 180 utworów literackich, dorobku. W roku 1948 ukazała się znakomita praca Mieczysławy Romankówny „Na nowych drogach. Studia o Elizie Orzeszkowej”, której autorka dokonała wysiłku pionierskiego, ustalając szereg istotnych związków między filozoficzną i pedagogiczną myślą epoki a twórczością autorki „Marty”.

W roku 1964 Edmund Jankowski napisał pierwszą biografię pisarki, w roku następnym Maria Żmigrodzka wydała część pierwszą monografii Orzeszkowej, a Jan Detko opublikował rozprawę, w wielu względów zasługującą na miano odkrywczej, „Orzeszkowa wobec tradycji narodowyzwoleniczych”. Autorzy dwu ostatnich dzieł poszukują — wydaje się — jakiejś racji ogólnej, rządzącej twórczością „samotnicy grodzieńskiej” i znajdują ją.

Detko — w tradycji walk 1863 roku, Żmigrodzka — w ideologii polskiego pozytywizmu. Nie kwestionując słuszności tych poszukiwań, przynoszących przecież godne uwagi, niekiedy nawet rewelacyjne osiągnięcia, refleksja nad dziełami Orzeszkowej, które w całości ukazały się pod redakcją Juliana Krzyżanowskiego dopiero w Polsce Ludowej, pozwala na sformułowanie hipotezy o tak bogatej ideowej i artystycznej postaci utworów pisarki, że nie mieszczą się one adekwatnie w żadnej koncepcji uogólniającej. Orzeszkowa była pisarką „bez formułek”. Stwierdzając tak, świadomie nawiązujemy do zapomnianego

dziś artystę znakomitego uczonego, prof. Stefana Kołaczkowskiego, który prawie przed trzydziestą laty stawiał podobną tezę.

(Stefan Kołaczkowski, Orzeszkowa bez formułek, „Prosto z mostu” 1937, nr 43).

Wyżej zaznaczoną krytykę „formułek” wypada połączyć z ich obroną, powtarzając za H. Markiewiczem i R. Jagardem sąd, że historia literatury znajduje się po niekąd w sytuacji kartografa, który kulisowo ziemi usiłuje przedstawić na płaszczyźnie... A jednak przyszedł wstąpić o autorce „Nad Niemnem” znajduje się — wolno przypuszczać — na drodze krytyki utartych, szablonowych sądów o pisarce, formułek udowodnionych i przyjmowanych a priori, na wiarę. Do tych ostatnich należy stwierdzenie, powtarzane niemal przy każdej okazji, bezkroć pisane o twórczości Elizy Orzeszkowej, że była ona nauczycielką narodu. Zasadniczy sens owego nauczycielstwa do chwili obecnej pozostaje zakryty i niezmany. Jest to co najmniej dziwne. Wspomniane stwierdzenie, niewątpliwie słuszne, jest bowiem podstawą określenia rangi pisarstwa Orzeszkowej.

W dziełach literackich i publicystyce przedstawiała Eliza Orzeszkowa koncepcję wychowania narodowo-patriotycznego na tyle szeroką, że obejmującą w zasadzie zasadniczą problematykę wychowawczą tamtych czasów. Twórczość jej posiada — zwłaszcza ta do roku 1880 — nie tyle reprezentatywny charakter wobec ówczesnej myśli oświatowej i wychowawczej, ile wobec rzeczywistych zagadnień oświatowych i wychowawczych, którymi nie zaw sze zajmowała się ówczesna pedagogika, podąża się wiedzy, anemiczna i mocno zależna od obcych wzorów. W trosce o patriotyczne i laickie wychowanie narodu dała ona bardziej wnikliwe niż inni pisarze pozytywistyczni obrazy krytyki tradycyjnego systemu wychowawczego, zwłaszcza w takich utworach, jak „Pan Graba”, „Stracony”, „Marta”, „Pamiętnik Wacławy”, „Rodzina Brochwiczów”, „Na prowincji”, „EM Makower”. Jak nikt z pisarzy jej współczesnych zaprezentowała

wszelkimi idealnymi wychowawcami swoich czasów, wcielając je we wzorce osobowe, którzy są postaciami literackimi tendencyjnych powieści i nowel. Podjęła problem unowocześnienia metod nauczania i wychowania. Zajęła się zagadnieniem oświaty ludowej. W „Meirze Ezołowiczu” stworzyła bohatera, właściwie reprezentanta wzoru osobowego głoszonego przez nurt etyki ludowej, który walkę z ciemnotą łączy z walką w obronie wyzyskiwanych mas ludności najuboższej w niesprawiedliwym ustroju społecznym.

Po roku 1880 Orzeszkowa odessała od praktyki popularyzowania aktualnych haseł oświatowych i wychowawczych okresu. Wypracowała oryginalną koncepcję życia ludzkiego, w której celowe miejsce zajęła myśl, że „najlepszym synem ojczyzny jest człowiek najlepszy”, spełniała znaczącą rolę pisarza nauczyciela społeczeństwa. Już nie upamiętniała bezpośrednio, nie karciła, nie zachęcała i nie podawała nakreślenia wzorów postępowania, lecz realistycznie modelując życie, skłoniwała ludzkie niezachodzące — tak oskarżała i ostrzegwała, mełowała ludzką wielkość — tak wskazywała przykłady.

Utwory Orzeszkowej przesiąknięte są racjonalizmem, a jej koncepcje oświatowe i wychowawcze, budowane najpierw w opozycji do tradycyjnego systemu wychowawczego i feudalnej świadomości społeczeństwa, a po roku 1880, w opozycji do burżuazyjnego systemu wychowawczego, mają humanistyczny i laicki charakter.

Trzeba podkreślić samodzielność ideową i artystyczną wielkiej pisarki, umiejscawiając w trudnym okresie niewoli zbiorczej godnie zachować głos własny, przekonanej do końca, że służy szlachetnym celom i ideałom, nie zrażającej się trudnościami w humanitarnej walce o prawa człowieka. Wypada zgodzić się z trafną obserwacją pisarza jejwspółczesnego, który śmiało stwierdzał w jubileuszowym artykule:

„W prostej linii nie pochodzi od nikogo, choć z niejednym ma rysy pokrewne”.

* Wiktor Gomulicki, Eliza Orzeszkowa (Sylwetka) „Kraj” 1891, nr 50.

Piotr Żbikowski

Zaduma

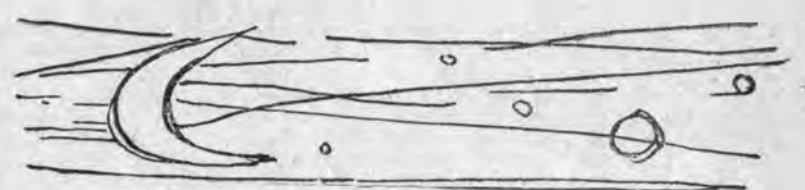
Przerzucam kartę
ciężką od rzeczy namacalnych
wyrazistych w swym kształcie istnienia
twardych i beczelnych w swej oczywistości

Drży za nią w westchnieniu zadumy
świat
umykający poza kontrolę oczu i rąk
lekki i drżący
jak ślad strzały
drażącej w milczeniu powietrze

Kołysze się chwiejnie
na krawędzi woni i przypomnienia
świat zmierzchu i wstającego dnia
nienarodzonych myśli
i zagubionych wspomnień

Na drodze

CAF — UCHYMIK



Julian Woźniak

Na festiwalowej estradzie...

(NA MARGINESIE FESTIWALU KULTURALNEGO ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH)

Festiwal Kulturalny Związków Zawodowych nie tylko ożywił działalność zespołów amatorskich. Jednocześnie stał się akcją do przeglądu naszego dorobku w różnych dyscyplinach artystycznych. Wiemy już które zespoły pieśni i tańca, które teatry i zespoły estradowe osiągnęły najwyższy poziom... Ostatnio mieliśmy możność poznać najlepsze zespoły ludowe. Ale nie uprzedzamy faktów.

Na scenie Zakładowego Domu Kultury Hut "Stalowa Wola" odbył się wojewódzki koncert kapel ludowych i zespołów regionalnych. W imprezie uczestniczyło 8 kapel i dwa zespoły. Wszystkie zaprezentowały stosunkowo wysoki poziom. Nic dziwnego zresztą. Województwo rzeszowskie posiada bogate tradycje pod tym względem i zespoły te przeszły przez gestę selekcji środowiskowych i okręgowych. W wojewódzkiej imprezie finałowej wystąpiły rzeczywiście najlepsze. Toteż różnica punktowa była stosunkowo niewielka.

Zwyciężyła, i to zupełnie niespodziewanie, młoda, bo działająca za ledwie rok, kapela ludowa Zakładowego Domu Kultury WSK Mielec, którą prowadzi skrzypek Stanisław Czachor. Po przykrym doświadczeniu z zespołem pieśni i tańca, kierownictwo mieleckiego ZDK zrezygnowało z przeładowanego programu. Wydelegowana na wojewódzki koncert czterocisobowa za ledwie kapela otrzymała polecenie wykonania na stalowowolskiej estradzie tylko trzech obowiązkowych utworów. A że wykonała je pod względem muzycznym bez zastrzeżeń — komisja konkursowa nie miała okazji do uwag L. ujemnych ocen. Kierownik Zakładowego Domu Kultury WSK Franciszek Duszałak powinien z tego faktu wyciągnąć odpowiednie wnioski przy zgłoszeniu swoich licznych zespołów artystycznych do różnego rodzaju przeglądów i festiwali.

Poza kapelą mielecką do udziału w finałowym koncercie Festiwalu Kulturalnego Związków Zawodowych, komisja, której przewodniczył kompozytor Sylwester Czasnowski, zakwalifikowała również kapelę Zakładowego Domu Kultury Zakładów Tworzyw Sztucznych w Pustkowie (kierownictwo Józef Skitał) oraz kapelę Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie (kierownictwo Leopold Guzik). Tego się zresztą należało spodziewać. Są to bowiem zespoły o dużych tradycjach. Pierwsza — to dawna „kapela brzeźnicka”, która już przed laty pretendowała do miana najlepszej w województwie.

Zmieniana się jednak warunki i typowa wiejska kapela, której członkowie rekrutowaliby się ze środowiska wiejskiego i w tym środowisku kultywowali tradycje muzyczne wsi — trudno już dziś spotkać

Nowe style i najnowsze rytmy dotarli na wiejskie zabawy i wesela. Jest na nie szczególne zapotrzebowanie, zwłaszcza młodych, i muzycy zmuszeni są sięgać po niezbyt typowe dla kapel ludowych instrumenty, i przestawiać się w swym muzykowaniu na bardziej nowoczesne formy. Jest to zresztą proces, którego nie można zahamować!

I dlatego dobrze się dzieje, gdy zakłady pracy naszego województwa biorą pod swe opiekunówce skrzydła zespoły muzyczne, które w swych programowych założeniach mają popularyzację dawnych ludowych melodii, nie „skażonych” saksofonem czy gitarą elektryczną.

Kapela brzeźnicka może nadal działać dzięki Zakładom Tworzyw Sztucznych w Pustkowie, kapela

W sumie trzy najlepsze (oficjalna ocena festiwalowa) kapela ludowa reprezentują stosunkowo wysoki poziom artystyczny, są poprawne technicznie, a ich wystąpienia dają dobre wyobrażenie o muzycznym folklorze naszego regionu. Należy im życzyć równie udanych występów na koncertach finałowym Festiwalu.

Trzech dalszych finalistów zaprezentowało nieco niższy poziom wykonawczy. W ich programie daly się zauważyć pewne naleciałości z innych regionów, zwłaszcza przy utworach z przyspiewkami. Odnosi się to do kapel Zakładów Mięsnych z Jarosławia (kier. Tadeusz Ortyl, solistka Halina Kaczmar), Związku Zawodowego Kolejarzy z Debicy (kier. Stanisław Sikiba), kapela POM



„Swaty” — widowisko regionalne w wykonaniu zespołu Zakładowego Domu Kultury Górnik-Naftowca w Krośnie.

suchodolska poczyna sobie wcale nieźle pod opiekunówkami skrzydłami Fabryki Obuwia Sportowego w Krośnie. Kapela ta nie działają zresztą o tak sobie a muzom! Zapotrzebowanie na ten gatunek muzyki, pomimo big-beatu i pięknych piosenek rodem z sopockiego festiwalu, jest nadal bardzo duże. Świadczy o tym chociażby ogromne zainteresowanie słuchaczy koncertami kapeli Władysława Łobody na rzeszowskiej antenie radiowej (na marginesie — wielka szkoda, że do festiwalowej rywalizacji nie stanęła właśnie znana z radia kapela Władysława Łobody!).

w Miejscu Piastowym (solistka 70-letnia Anna Węgrzyn). Zespoły te powinny bardziej zadbać o czystość folkloru i w tym celu proponujemy repertuarową konsultację. Nie zawsze najlepiej było też z doбором piosenek i przyspiewek. Bo jakkolwiek wykonywane teksty były oryginalne, wygrzebane nie raz z pamięci śpiewających przed laty na wiejskich weselach, dziś już babcie i dziadki — to jednak ich trywialność w żadnym razie nie powinna tych piosenek kwalifikować do publicznego wykonania na festiwalowej estradzie. Lecz i takie teksty usłyszeliśmy w

czasie wojewódzkiego koncertu kapel. Rzecz jasna, weselna ludowa przyspiewka, to nie pieśń masowa... Pewną trywialność tekstów należy tu uznać i zaakceptować. To jasne! Ale nie można przekroczyć dopuszczalnej pod tym względem granicy!

I wreszcie zespoły regionalne! Do wojewódzkiego przeglądu dopuszczono zespół regionalny Gorlickich Zakładów Przemysłu Drzewnego z fragmentami „Wesela Pogórzeń” (kierownictwo zespołu i opracowanie muzyczne Kazimierz Zydek) oraz zespół Domu Kultury Górnik-Naftowca w Krośnie z widowiskiem Wiktora Łąckiego „Swaty” (choreografia Jan Lesław Kubit i Cecylia Skorupska, kier. muzyczne Konstancy Ekiert).

Wartość widowiska gorlickiego, to przede wszystkim typowe dla regionu Pogórzeń zwyczajne weselne, tańce i stroje. Widowisko nie było jednak jednolite. Odczuwano się pewne dłużyzny i niedopracowane partie w inscenizacji całości. Najbardziej jednak odczuwalny mankament stanowiła strona muzyczna. Jeden z członków komisji oceniającej wyraził nawet opinię, iż lepiej by było, gdyby kontrabasista wy-

POLEMIKI

Andrzej Szczypiorski

Porozmawiajmy

Szanowny Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w „Nowinach Rzeszowskich” z dnia 29—30 X br. oślszerna recenzję mej powieści „Podróż do krańca doliny” — pióra p. Cecylii Błońskiej. Otrzymałem wycinek „Globo” — skonstatowałem, że ma Rzeszów krytyka z prawdziwego zdarzenia, śmiała nie lada, który nie bacząc na wszelkie przeciwności — rzucił się na szerokie wody poważnego, roztropnego, wyważonego szkicu (bo to więcej niż recenzja) na temat „Doliny”, tej osobliwej powieści, którą w Warszawie uważają specjaliści literacy za jeden z najtrudniejszych do zrecenzowania utworów ostatnich lat w naszej prozie. Rad więc jestem, że p. Błońska podjęła racjonalną krytykę rekawicę, ale chciałbym na łamach „Nowin” właśnie — wdać się w skromną polemikę z autorką tego wybornego szkicu. Idzie tu bowiem o jasność w pewnych sprawach — by tak rzec — pryncypialnych. Załączam przeto do listu niniejszego artykułik, z uprzejmą prośbą o rychłe jego opublikowanie.

Z szacunkiem
A. SZCZYPORSKI

Z wielką uwagą przeczytałem zamieszczoną na łamach „Nowin” recenzję Cecylii Błońskiej na temat mojej powieści „Podróż do krańca doliny”. Jest to recenzja rzetelna, wyszła spod uczciwego pióra, słowem jedna z tych rzadko w Polsce spotykanych ocen literackich, która się narodziła jako rezultat uważnej lektury, namysłu i skupienia. Najbardziej krytyczne dywagacje, w naszym kraju pozbawionym niesłusznego dobrej tradycji w tym zakresie i niemal doszczętnie wymiecionym z polemik, poważnych dyskusji, pryncypialnych spórów — bywają mde i niegodne uwagi ze strony autorów. Jak widać, Polska jest krajem osobliwym nad wyraz, gdzie polemiki przywodzą na myśl magiel, a dyskusje — oderwane i pozbawione merytorycznej spójności monologi.

W tej aurze dość dla literatury nieprzychylniej — szkicu p. Błońskiej odznacza się rzeczowością, poważną argumentacją i ładnym stylem polemicznym. Albowiem wbrew pozorom — jest to recenzja polemiczna, za co szczególnie p. Błońskiej chciałbym podziękować. W mojej pracy pisarskiej nie mogłem się zwykle uskarżać ani na brak zainteresowania ze strony krytyki, ani tym bardziej na niedostateki poohlebnych prymosiłków. Pragnę więc wyjaśnić, że nie tyle przychylnie oceny p. Błońskiej, co raczej akcenty polemiczne zawarte w jej szkicu — skłaniają mnie do zebrania głosu. Zdać może sprawę, że nie jest rzeczą pisarza dyskutować o własnej powieści z krytykami literatury. Może argumentacja jest skoczona, nieodwołalna i zamknięta — w ramach utworu, który trafia do rąk Czytelnika. W tym tkwi słabość pisarza w zderzeniu z krytyką, gdyż dywagacje nad książką, nigdy nie są dyskusją, czy wymianą poglądów — lecz po prostu osądem publicznym.

Na osąd Cecylii Błońskiej nie mam powodu się uskarżać. Skłonny jestem mniemać, iż na łamach rzeszowskiego dziennika — wymierzono „Dolinie” sprawiedliwość na miarę sumienia, doświadczeń moralnych i intelektualnych krytyka, co w warunkach polskich znaczy bardzo wiele i godne jest prawdziwego szacunku.

Co więcej — pani Błońska okazała śmiałość zdumiewającą, podjęła bowiem trud, przed którym cofnął się niejeden spośród wytrwałych, warszawskich kolegów. Pani Błońska napisała szkic o powieści, która jest piekielnie delikatna z punktu widzenia ocen ideowo-politycznych, i która rozdziła się w bólach, trudnych do opisania. Myślę, że autorka szkicu o „Dolinie” zdawała sobie sprawę z trudności i przeszkód — lecz przecież podjęła racjonalną rekawicę! Wyrażam jej za to szczerze podziękowanie i ufam, że przyszłość przyniesie nam obogacenie, dowodzące niezbicie, iż kultura powstaje tylko dzięki śmiałości i bezkompromisowości twórców.

Pragnę jednak ze swej strony podjąć propozycję p. Błońskiej — i porozmawiać z nią o „Dolinie”. Na razie publicznemu, nie poufnie — jak sobie tego życzy autorka szkicu. Na marginesie dodam, że poufne rozmowy o literaturze już mi bokiem wylazły!

W szkicu p. Błońskiej wyczuwam żal, że autor „Doliny” — którego stać na szeroki oddech epiki — oszedł w stronę politycznego rezonersu — czy mówiąc ogólniej — wyrażonej publicznie. W tych burzliwych polemikach, najekscytowniej bezwzględnych, oszrymi jak lasost, Szczypiorski — wyrażony publicznie — zdecydowanie góruje nad „Doliną” — pióra p. Błońska. Choć nie jestem pewien czy jako publicysta gorzej w „Dolinie” nad powieściopisarzem — bez trudu przyznając rację p. Błońskiej, gdyż zamierzam moim było napisać powieści p o l i t y c z n e j, a więc z natury rzeczy przychylniej formie — w kierunku publicystyki, a nie prozie psychologicznej. Pani Błońska wie dobrze, że np. „Polowanie na lwy” — jest to książka jak najdalsza od publicystyki, a „Lustrum” uchochodzą z daniem niektórych krytyków — za kliniczny niemal przykład polskiej „anypowieści”. Przypominam te sprawy, by tym dobitniej wskazać, że u źródeł inspiracji „Podróż do krańca doliny” leżał zamysł jawnie polityczny, jawnie publicystyczny. Można oczywiście nie gustować w tego rodzaju prozie, ale trzeba się zgodzić na jej prawo obywatelstwa we współczesnej panoramie literackiej. Nieustannie żałuję p. Błońskiej, który ośmielał się uważać za pozorny, jest konsekwencją poprzedniego. Pisze ona „Partnerzy... tej wymiany myśli i głów

Jan Grygiel

Bestseller Tysiąclecia

„Ten jest, że tak rzekę, jedyny pokarm docięciu ludzkiego — umieć i wiedzieć jak najwięcej... Między wiadomościami zaś rzeczy różnych najpiękniejsze miejsce ma i najpotrzebniejsze jest człowiekowi poznanie spraw i czynów ludzkich, które najłatwiej podawa historia. Lecz historia starych, nazbyt i niepięknymi czasów jest martwa. Ożywić zaś ją może dopiero własne eksperymenty każdego z Waszmościów, śledzących dzieje czasów minionych... gdyż przeyjżesz współczesne, zrozumiesz dawne”.

Tak we wstępie do „Gazety Tysiąclecia” pisze jej wydawca Mateusz Stuchniński, jak wynika z cytatu chodzi o to, byśmy okiem współczesnego czytelnika prasy codziennej, spojrzeli na tysiącletnie dzieje świata, Europy i Polski; byśmy przymierzali do przeszłości oceny, sądy i stereotypy myślowe ukształtowane pod ciśnieniem konwencji informacyjnych z naszych czasów. Ma nam to ułatwić „Gazeta Tysiąclecia”, czyli obraz historii kreślony według pojęć dziennikarza Ekspresu, Kuriera Polskiego czy Przekroju. Ten pomysł jest źródłem znakomitej zabawy dla czytelnika, źródłem humoru wysokiej klasy. „Gazeta Tysiąclecia” spełnia jeden z najtrudniejszych postulatów w zakresie popularyzacji wiedzy, gdyż

bawiąc uczy, upowszechnia w sposób doskonały naukę historii i zachęca do jej studiowania. Nic dziwnego, że „Gazeta” stała się jednym z najbardziej poszukiwanych wydawnictw związanych z jubileuszem Tysiąclecia Państwa Polskiego i można ją nabywać tylko spod ręki.

Trzeba bowiem stwierdzić, iż przy swym nieco figlarnym charakterze publikacja oparta jest na materiałach autentycznych, źródłowych, na informacjach, kronikach, dokumentach i relacjach wiarygodnych świadków wydarzeń historycznych. Wydawnictwo ma charakter oprawnego „rocznika” złożonego z 33 kolejnych numerów Gazety.

Nr 1 datowany: wiek I do V ukazał się w Rzymie i kosztuje 3 sesterce, nr 33 o dacie 1674—1690 r. wydano w Warszawie — cena 5 trzeciaaków. W stopce spotykamy m. in. nazwiska takich naczelnych redaktorów, jak: Publius Cornelius Tacyt, Geograf Gawarecki, Thietmar z Merseburga, Bai Anonim, Janko z Czarnkowa, Zbigniew Oleśnicki, Jakub Sobieski czy Szymon Starowolski. Drugi tom od wieku XVII do czasów dzisiejszych ukaże się, według obietnicy edytora w późniejszym okresie.

Sporo rozmaitych refleksji poważnych, nasuwa się przy lekturze

„Gazety Tysiąclecia”. Czasem utwierdza się w czytelniku przekonanie, że „nic nowego pod słońcem” lub że wszystko już było. Skądś już bowiem znamy takie tytuły informacyj, depesz i artykułów, jak np. „Wsteczna ideologia hamuje postęp”, „Na wielkich budowach feudalizmu”, „Drożyna w Europie”, „Ograniczenia melundkowe w Londynie”, „Paszporty na wyjazd do Pragi wstrzymane”, „Pomoc Polonii zagranicznej”, „Zjednoczenie dwóch partii”, „Zgon wielkiego księdza-patrioty” czy „Walka z przestępczością na nowym etapie”. Czy nie brzmi dziwnie swojsko taki tytuł: „Niemiecka delegacja kościelno-rządowa przybyła do Polski”. Czy nie nasuwają się pewne refleksje na temat obiektywizmu źródeł historycznych i współczesnej informacji prasowej, gdy czytamy takie wiadomości w rubryce „Z całego świata”: „Mekka — rok 622 (Inf. wł.) Wybuchły tu zamieszki wywołane agitacją jakiegoś opętanego kupca z rodu Korejszytów niejakiego Mahometa, który ogłosił się prorokiem (!!!) Ailacha. Niefortunny „prorok” otoczony pogardą i wydrwinioną, opuścił Mekkę i przeniósł się do Jatrebu”. I zaraz poniżej: „Medyna, rok 632 (Inf. własna) Zmarł tutaj powszechną cziącią otoczony prorok Mahomet, którego świętej nauce i błogosławionej władzy podporządkowuje się ulegle coraz więcej szczepów arabskich”.

Znajdujemy w Gazecie i reportaże z bitwy pod Grunwaldem, i sprawozdanie sejmowe z debaty nad sprawą Unii Lubelskiej, i korespondencje ze świata Marka Polo, Nikitina, relacje z wypraw krzyżowych, kącik poezji, kronikę literacką, kąciki mody, porady czytelnicze i prawne, ploteczki i dowcipy — wszystko z przywruczeniem oka, ale zawsze z wiarygodnych źródeł z tamtych epok.

Szczególnie odpowiada mi jedna z zasad, której trzymał się autor „Gazety Tysiąclecia”. Chciał pokazać, że my dzisiaj nie mamy żadnego prawa spoglądać z poczuciem wyższości na zamierzchłe czasy z perspektywy naszych doświadczeń, gdyż nasi przodkowie wcale nie byli od nas głupszy i naiwniejszy. Żyli w swych epokach, jak my w naszej i mieli podobne zainteresowania, kłopoty, radości i problemy nie zawsze w mniejszych niż my wymiarach. Różnice między dawnymi a naszymi laty, to tylko różnice imponderabilności.

Przeszłość widziana w takiej perspektywie, bawi, cieszy, warusza — staje się czymś bliskim i żywym. Dlatego Mateuszowi Stuchnińskiemu należy się dużo wdzięczności od miłośników historii za frapującą lekturę i dlatego też trudno się zgodzić z jego przestroją zawartą w przedmowie do Gazety, by „nie dawać jej czytać, „białym głowom” — płochę są albowiem i do poznawania historii, jak i w ogóle rostrzszaszania materii publicznych nie sposobne: toż bronicie jej czytać otrokom, które żadnej jeszcze eksperyencji własnej nie mają, ożywić historii nie potrafią”. Sądzą, że właśnie „Gazeta Tysiąclecia” może stać się dla nich znakomitą propedeutyką studiowania dziejów, o wiele skuteczniejszą niż nudne podręczniki.

(Ciąg dalszy na str. 6)

o Podróży? — Zgoda!

nym bohaterem... to tylko prezentacja rozmaitych postaw rozpatrywanych w chłodnych intelektualnych kategoriach, a nie pełni ludzie z zalewaniami, z jakimś własnym życiem".

W rzeczy samej, p. Błońska ma rację. Aczkolwiek można by podyskutować, czy w o k r e ś l o n y c h s y t u a c j a c h ideowych i politycznych — postrzegając ludzką nie są wykładnią cech charakterologicznych. Można oczywiście przydać np. Witkowiakowi nieszczeniwa żonę, którą ten jegomość fizycznie maltretuje. Myślę jednak, że draństwo polityczna idzie w parze z draństwem osobistym, nie trzeba więc politycznych i sądówk wzbogacać o listymie życie prywatne, pełne brudu moralnego, by tu dobitniej wypunktować ich społeczną szkodliwość. Nie przypisuję p. Błońskiej tęsknoty za swobodnym schematyzmem, ale jej uwagi — niemiłosiernie — wskazują właśnie ten kierunek.

Co do intelektualnego chłodu — wyjaśniam przekornie, że zarzut tego rodzaju uważam za najwyższą pochwałę, jaka spotkać może wprostego pisarza. „Czarodziejska góra” Tomasza Mann’a jest zimna jak lód, „Doktor Faust” podobnie... Brak chłodnego, intelektualnego dyszmasu sprawia w dziełach tych czasach, że zamiast szerszego postaw moralnych, następuje w literaturze zderzenie melodramatów. Pani Błońska, pisze, że „emocjonalną pustką, w której autor zawiesił czolową postać, czytelnik odczuwa jako dotkliwy brak”. A dalej: „W takim wyobcowaniu trudno oczywiście znaleźć bohaterowi odpowiedź na nieustannie nurtujące go pytania, na ile wielki trud milionów ludzi przeobraził już kraj, w jakim stopniu człowiek wytoczone parthi, rzadu akceptowane i przyznawane są jakieś prawa przez naród”.

Nie wyobrażam sobie trafniejszego od czytania mojej powieści. Pani Błońska odczytała ją tak okrutnie i boleśnie, jak okrutnie i boleśnie została napisana. Myślę jednak, że pani Błońska w pewnej chwili z niejaka twierdzą odwrócić się przed ostatecznymi konsekwencjami, jakie usiłowałam wskazać i odmożować. To przecież nie ja zawieszam Stachurę w emocjonalnej puszczy! On sam okazał się na jałowość i rezerwistość — i jeśli widzę dla niego ratunek, to tylko dlatego, że Stachura dostrzega absurd własnej sytuacji, gdy powiadam o nim — „Nie wyruszył na poszukiwanie sensu, w tym wszystkim nie zagubił przecież sensu, lecz całkiem co innego. Sens mu pozostał, ale odarty z całej reszty, Jewiż się teraz przed oczyma, jak coś twardego i krystalicznego, kamień lub diament, pozabawiony oprawy. Lądziom swydek chodził właśnie o sens, ale o mają zrobić z jego nadmiarem?”

Gdy p. Błońska pisze o wyobcowaniu bohatera, które uniemożliwia mu znalezienie jemu odpowiedzi na dręczące pytania — ma rację. Ale to wyobcowanie kreował sam Stachura, jego jest dziełem, tworem i przekleństwem. Jest w „Podróży do krańca doliny” fragment wyjaśniający chyba bez reszty ten dramat wyjaśnienia, rewolucyjnej aktywności. „...wszędzi w przemiane, sądząc, że tu zawsze już będzie mu towarzyszyło uczucie wspólności. I przez długie lata zdumiewał się widząc wokół kompletną samotność. Ale teraz już się nie dziwił. Wybrał drogę nieusłannego wyboru, jakże więc mógł się dziwić swemu oca-

motnieniu? Chciał nowej i lepszej Polski — musiał siebie ze skóry obedrzeć. Stał na rozstajach krzyżackie, zdziercy, łapska mieli węgorszwate, w ciągłym ruchu, twarzę wyarte i plaskie. Zachwalał swój towar chorem najprzeróżniejszych głosów, płaczących i radosnych, gromkich i potulnych! Rewolucja! — wolał. Wywiekił łachy jaskrawe, kolorowe i błyszczące, w kurzu polskich dróg przybrudzone, łachy z najdalszych stron świata, zachęcał, groził, obiecywał na przemian to raj, to więzienie...”

Wielką przemiana jest tragiczna, często nieopisanie okrutna. Odrzeka ludzi z wartości najbardziej intymnych, skazuje ich na samotność, na coś gorszego nawet niż samotność. W ostatnim epizodzie książki Stachura powiada do Zagórskiego: „Czasem myślę, że jak się ma za dużo racji, to się traci uczucie... Bo tam, gdzie jest sprzeczność, konieczność trzeba szukać sprawiedliwości!”

I cóż stączy od swego mentora, od tego szalonego, starożytnego, w bojach rewolucyjnych działacza? „Bardzo smutnie!” — odpowiada Zagórski. „Bardzo smutnie. Bywają jednak prawdy smutne, jak ta, która inspirowała „Podróż do krańca doliny”, tę podróż samotnego, wypalonego, bez reszty działacza, który pokubił siebie i swoje życie na bolesnych, stromych i kamienistych drogach polskiego socjalizmu.”

Ja mego Stachurę kołham i szanuję, bo w zmaganiech z historią współczesną ocałił swoje sumienie, choć nie osiągnął harmonijnej zgody z rokiem 1966 — tym, który pani Błońska rozstrzelonym drukiem powołała na koronnego świadka w zakończeniu swojego szkicu.

Kocham i szanuję Stachurę i Michałaka, tych rewolucjonistów tragicznych i osamotnionych, tak jak nieawidzę Witkowskiego czy Karłowicza, o których pozwoliłem sobie napisać, że „nie byli nigdy tragiczni, wytworzyła ich cieżka dyktatura, w której nie ma miejsca na prawdziwy tragizm, jest tylko różowy fotoplastikon”.

Powieść moja jest utworem par excellence politycznym i z całą dojrzałą świadomością wybrałem dla niej formułę chłodnych konfrontacji ideowo-moralnych. Wszystkie podporządkowane jest w tej książce zamysłowi, aby w sposób najbardziej klarowny i polemiczny zarysować dyktat pokolenia, które dążyło do swych berlich polską rewolucję.

Nie ma więc w książce wątków ubocznych i nie ma też żadnych aspiracji epickich. Jest to bardziej wywód aniżeli powieść, bardziej esej, aniżeli biuletynka. Mójmy nadzieję, że kiedyś powstanie wielkie eposkie malowidło ubiegłego Dwudziestolecia, w którym znalazł się to wszystko, czego być może — tak jak w „Podróży do krańca doliny”. Także p. Błońskiej są maksymalistyczne, i to zasługuje na szacunek. Nie sądzę jednak, by mogła czynić mi zarzut, że wybrałem formę, która niezaprzecznie przylega do jej gustów. W żadnym zaś razie nie mogę się zgodzić na stormuowanie, które odczytałem jako łagodny wyrzut, iż powieść moja nie porwie i nie wegnie młodzieży. Po pierwsze — pisałem powieść o moim pokoleniu, po drugie — o moim pokoleniu, po trzecie — o moim pokoleniu...

Andrzej Szczypliński

„Planować, ale jak?”

W artykule „Planować, ale jak?” („Widnokrąg” nr 39) red. Zdzisław Kozioł przedstawił niektóre zagadnienia programowania rozwoju szkolnictwa zawodowego, głównie w aspekcie jego niepełnego dostosowania do potrzeb gospodarki narodowej. Z uwagi na ważność problematyki, która — przypomnijmy — sporo miejsca zajęła w obradach Komitetu Wojewódzkiego PZPR, zwróciłem się do zainteresowanych kierowników wydziałów Prez. WRN i kilku dyrektorów przedsiębiorstw z prośbą o wyrażenie swoich opinii.

Dziś publikujemy, z nieznacznymi skrótami, odpowiedź przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego mgra Antoniego Gruby; tytuł artykułu pochodzi od redakcji.

REDAKCJA

Artykuł red. Zdzisława Kozioła porusza dwa podstawowe w planowaniu gospodarczym zagadnienia: bilansu siły roboczej oraz bilansu kadr kwalifikowanych, przy czym w omawianym przypadku chodzi o wojewódzki plan 5-letni na lata 1968—1970. Należy wprawdzie wyjaśnić sprawę podstawową: ostateczne wyniki obu tych bilansów mogą być określone po definitywnym ustaleniu charakteru, wielkości, rozmieszczenia i czasokresu realizacji podstawowych zadań inwestycyjnych i produkcyjnych, centralnych i terenowych oraz po ustaleniu docelowej liczby zatrudnionych w gospodarce społecznej. Ostateczne sprecyzowanie tych zadań i wielkości nastąpi w drodze uchwały sejmowej o planie 5-letnim na lata 1968—1970.

Dotychczas prace w tym zakresie — zgodnie z założoną metodologią i w oparciu o bieżące wytyczne Komisji Planowania przy Radzie Ministrów — miały charakter p r o j e k t ó w w planie 5-letniego. Sporządzenie ich zapoczątkowano w 1964 r., uściślając i również zmieniając je w myśl wytycznych Komisji Planowania przy Radzie Ministrów. Wielokrotnym zmianom ulegał projekt budowy i rozbudowy nowych zakładów w ramach centralnego na terenie województwa. Zmieniono również lokalizację inwestycji, co rzucało na wyniki obu bilansów.

Przykład: projektowane budowę w Rzeszowie dużego, przemysłowego zakładu elektronicznego i w związku z tym zachodziła potrzeba zorganizowania szkoły zawodowej o tej specjalności. W wyniku jednak decyzji władz centralnych, sprawa budowy tego zakładu stała się nieaktualna, a tym samym stała się nieaktualna sprawa związana z nią szkoły. Podobnych przykładów można by przytoczyć więcej. Zmiany dotyczą nie tylko zakładów nowych, ale również istniejących, np. kilkakrotnie w okresie prac nad projektem bieżącego planu 5-letniego zmieniano docelową liczbę zatrudnionych w Kopalniach i Zakładach Przetwórczych Siarki.

W 1965 roku — już po ustaleniu pierwszej wersji 5-letniego bilansu siły roboczej — został opracowany, a następnie uchwalony przez Prez. WRN program rozwoju rzemiosła, chałupnictwa i usług, znacznie przyspieszający dotychczas zakładane tempo, co oczywiście zmieniło plany zatrudnienia w tych dziedzinach.

Obecnie prowadzone są prace nad programem aktywizacji małych miast do roku 1970 i na lata następne, przy czym bierze się pod uwagę środki, które poprzednio nie były uwzględniane, a mianowicie specjalnie określony uchwałą Rady Ministrów fundusz aktywizacji małych miast. Dotychczas nie wiadomo w jakiej wysokości, na jakie konkretne zadania i w jakich latach będą przydzielane środki z tego funduszu dla naszego województwa. Niemniej jednak wiadomo, że wpływają one na konieczność uaktualnienia niektórych elementów bilansu siły roboczej.

Jak z powyższego widać, szereg przesłanek oddziałuje na konieczność aktualizowania tej części bilansu 5-letniego, która określa liczebność, rozmieszczenie i czasokres realizacji zatrudnienia w zawodach pozarolniczych. Połącza to z kolei potrzebę weryfikowania planu bilansu kadr kwalifikowanych.

Odrębne wyjaśnienia wymaga bilans siły roboczej dla rolnictwa na lata 1966—1970. Rzeszowszczyzna charakteryzuje się wysokim przeludnieniem agrarnym, dlatego wielokrotnie zgłaszano pod adresem władz centralnych wnioski o konieczności „wyprowadzenia” do zajęć pozarolniczych nadwyżek siły roboczej. Znalazło to odbicie w opracowanym w 1965 r. przez WKPG projekcie bilansu siły roboczej. Założono w nim konieczność „zdejścia” do 1970 r. 36 tys. osób z nadwyżki siły roboczej w rolnictwie, poprzez utworzenie odpowiedniej liczby miejsc pracy poza rolnictwem. Tego projektu bilansu Komisja Planowania nie odrzuciła, gdyż był zgodny z opracowaną przez nią me-

todologią, ale poleciła opracować drugi wariant, zakładający nie 36 tys., lecz 12 tys. osób, co też zostało wykonane. Ostatecznie jednak w późniejszej otrzymanych z Komisji Planowania przy Radzie Ministrów dyrektywach założone zostało „zdejście” z rolnictwa 3 tys. osób, z odpowiednim przeniesieniem ich do zajęć

Antoni Gruba

TRUDNOŚCI PLANOWANIA

pozarolniczych, co również zapoczątkowano.

Wszystkie powyższe kolejne opracowywane wersje bilansu siły roboczej, dokonywane były w dostosowaniu do kolejnych wersji założeni bilansów ogólnokrajowych, których ostateczną wielkość ustalił wspomniana uchwała sejmowa, wskazuje ona również odpowiednio wielkości w województwie.

Współzależny z bilansem siły roboczej i założeniami planu inwestycyjnego jest bilans kadr kwalifikowanych; jest on ściśle powiązany z programem inwestycyjnym, organizacyjnym i zakresowym szkolnictwa zawodowego.

Ponadto na wojewódzki bilans kadr kwalifikowanych w wielu wypadkach na również wpływ to, że niektóre szkoły w Rzeszowskiem kształcą młodzież z innych i dla innych województw. Także szereg szkół zawodowych spoza województwa przygotowuje kadry dla nas. Zrównoważenie bilansu zależne jest więc w poważnym stopniu od należytej współpracy międzywojewódzkiej.

Wreszcie ważnym czynnikiem jest przewidywana migracja poza województwo. Biorąc pod uwagę charakter zapotrzebowanej przez inne województwa siły roboczej, zakłada się w bilansie przypuszczalne przemieszczenia ludzi.

Istnieje zatem szereg czynników oddziaływających na ostateczne ukształtowanie wojewódzkiego bilansu kadr kwalifikowanych. Prawdopodobnie jego sprecyzowanie zależy zarówno od ścisłego przestrzegania zasad metodologicznych, jak i od dokładnego — odpowiadającego istotnym potrzebom — obliczenia zapotrzebowania na pracowników kwalifikowanych przez zakłady pracy. Winien on również uwzględnić niezbędną wymianę, bądź doszkolenie pracowników niekwalifikowanych.

Bilans kadr kwalifikowanych opracowany był dwukrotnie: na przełomie lat 1964/65, z uwzględnieniem potrzeb do roku 1970 oraz przed trzema miesiącami — z uwzględnieniem zapotrzebowania do 1975 roku. Oba bilanse zostały w odpowiednim czasie przyjęte przez Komisję Planowania przy Radzie Ministrów, jako nie budzące zastrzeżeń metodologicznych i merytorycznych. Ulegał jednak sukcesywnym zmianom założenia wojewódzkiego planu 5-letniego, stanowiące właśnie tę

merytoryczną, istotną podbudowę bilansu kadr kwalifikowanych.

Należy zaznaczyć, że zakłady pracy nie zawsze należycie planowały zapotrzebowanie na kadry. Niedłokrotnie jednostki nadrzędne zmieniały im wielkość i kierunki rozwoju.

Ma rację autor artykułu pisząc, że „realizacja uchwały Plenum KW wymaga ścisłej współpracy z dotychczas współpracującymi organami planowania, administracji szkolnej oraz przyszłych pracodawców kształcącej się młodzieży”. Istotnie, nie na samym tylko bilansie kadr kwalifikowanych można bazować, zwłaszcza wówczas, kiedy jest on dopiero w fazie projektowej. Tylko stała i zacieśniająca się współpraca zainteresowanych oraz możliwie szybka wzajemna informacja o zaszytych i mających zajść zmianach, pozwolą uniknąć niedociągnięć, rzutujących na programowanie rozwoju szkolnictwa zawodowego, o których mowa w artykule. Konieczność zacieśnienia współpracy w tym zakresie dotyczy nie tylko jednostek na Rzeszowszczyźnie, ale także poszczególnych województw, i pod tym względem słuszny jest więc postulat autora, dotyczący „ściślejszej współpracy między zainteresowanymi województwami”.

Te elementy — tj. zacieśnianie współpracy i aktualizowanie danych mających wpływ na programowanie szkolnictwa zawodowego — kierowane będą działalnością WKPG przy opracowywaniu ostatecznej wersji planu. Musiałoby to łączyć się z ponowną, obszerną ankietyzacją poszczególnych zakładów pracy.

Należy również wyjaśnić, że informacja autora, iż „nie uwzględniono np. szeregu okoliczności, jak ruchu pracowników, ubytku naturalnego, przechodzenia na emeryturę itp.” jest nieścisła, ponieważ uwzględnienie tych momentów było założone metodologią prac nad bilansem kadr kwalifikowanych i zostało przeprowadzone. Natomiast można i należy liczyć się z dużą niedokładnością dostarczanych przez niektóre zakłady danych, dotyczących tych zagadnień. Od strony zatem praktycznej — w innym jednak sformułowaniu słownym — teza autora o niedokładności danych zakładowych w tym zakresie jest z pewnością w dużej mierze słuszna.

Przedstawiony wyżej stan rzeczy oraz fakt, że jesteśmy w okresie końcowych, ale nie zakończonych jeszcze i ulegających dalszym zmianom prac nad planem 5-letnim, nie mogą hamować programowania profilu kształcenia zawodowego. Ciężar gatunkowy dalszych prac polega winien — jak to zresztą już sugeruje Zdzisław Kozioł — na prawidłowej i systematycznej współpracy wewnątrzwojewódzkiej i międzywojewódzkiej oraz na rzetelnej informacji statystycznej i programowej jednostek zapotrzebowujących kadry kwalifikowane.

Materiał tą drogą gromadzony będzie z kolei stale weryfikowany w świetle rocznych bilansów siły roboczej oraz podejmowania na szczeblu centralnym i wojewódzkim decyzji lokalizacyjnych.

Wojewódzka Komisja Planowania Gospodarczego uważa, że poruszenie w prasie tego bardzo złożonego problemu i podniesienie jego rangi społecznej przyczyni się niewątpliwie do znacznego usprawnienia pracy w dziedzinie, która obejmuje tak szeroki krąg zainteresowanych. Decydującą rolę odgrywają tu setki zakładów pracy; w nich bowiem ten tak doniosły problem nie tylko powstaje, ale przybiera określony kształt i rzuca decydująco na specjalizację, rozmiar oraz czasokres rozwijania szkolnictwa zawodowego.

Prawidłowo opracowany bilans siły roboczej oraz bilans kadr kwalifikowanych przez poszczególne przedzia powiatowych i miejskich rad narodowych pozwala również na prowadzenie właściwej polityki zatrudnienia.

Redakcja „Widnokręgu”

Nawiązując do artykułu p. Stanisława Gębali pt. „Potrzeba Społecznej kontroli”, osobście podzielam poglądy wyrażony przez autora.

Przyznać trzeba, że wielu studentów (studów stacjonarnych, bo o takich niewątpliwie chodzi) chce się wyraźnie odróżnić od pozostałej części społeczeństwa i to nie najlepszym postępowaniem. A tak przecież być nie powinno. To oni winni stanowić wzór zachowania i postępowania zarówno dla tych, którzy pójdą w ich ślady, jak i tych, którzy nie mogli znieść studenckiego trybu.

Rzeszów — zgoda — nie ma tradycji studenckich, ale warto, by pewne normy nie były wypaczone. Chęć podać ot taki sobie drobny przykład. Otóż z Osiedla 20-lecia w Rzeszowie dojeżdża wielu studentów, których najliczniejsze grupy można zobaczyć w godzinach rannych. Wielu z nich uważa, że tylko im się należy pierwszeństwo jazdy, nie obowiązują ich w ogóle kolejka. Patrzą na to i starsi, i młodzież (szkół podstawowych i średnich), ale każdy czeka, kiedy

wreszcie zrozumieją, że tak przecież nie wypada.

Słyszy się wiele krytycznych uwag o postępowaniu studentów, ale mało odzwierciedla to społeczną reakcją potępiającą takie zjawiska. Wydaje mi się, że student nie może być odizolowany od społeczeństwa i zamknięty w murach uczelni, po kilku bowiem latach będzie ponownie tym samym — powiemy poszedł jego członkiem. Z tym tylko, że wzbogacił o wiedzę ogólną i specjalistyczną. Odizolowanie się może mieć przykre następstwa. Uważam, że studenci winni zdobywać wiedzę w sposób kompleksowy — zarówno w uczelni, jak i „w powszednim” środowisku społecznym, do którego niebawem powrócą.

Dlatego słuszne jest wyrażenie wzmocnienia społecznej kontroli tego środowiska, ukształtowane bowiem przez tych ludzi normy, chociaż daleko odbiegające od społecznego zapotrzebowania mogą w przyszłości przynieść szkodę samym ich twórcom.

JOZEF GAJDA

Komu zamek?

Ostatnio Ministerstwo Kultury i Sztuki urządziło wycieczkę po Rzeszowszczyźnie dla dziennikarzy, by pokazać z bliska problem ochrony zabytków na przykładzie tego województwa. Mimo specyfiki terenu, Rzeszowszczyzna obrazuje w pełni ogólnokrajową sytuację w tej dziedzinie.

Na Rzeszowszczyźnie znajduje się 2167 obiektów zabytkowych. Wśród nich 2 obiekty zaliczane do grupy „0” (najwyższa ranga międzynarodowa) — zamki w Baranowie i Łańcutu, i 97 zabytków I grupy. W ostatnich latach odbudowano i przystosowano do nowych zadań kilkanaście obiektów. M. in. dwór w Jezowie przekształcony został na ośrodek plenerowy Liceum Sztuk Plastycznych w Tarnowie. We dworze w Łękach Górnych umieszczono Izbę Porodową, a we dworach w Jablonce i Nagnajowie — szkoły. W pałacu w Dukli rada narodowa urządziła ośrodek kulturalno-turystyczny, a w zabytkowej synagodze w Rzeszowie mieści się Dom Sztuki i Architektury.

Spośród 2167 rzeszowskich zabytków — 1618, to zabytki świeckie, 1573 obiekty mają już użytkowników, a 37 pilnie wymaga zagospodarowania. M. in. oczekują na gospodarza renesansowy zamek w Przecławiu i barokowe pałace w Warolu i Sieniawie.

Co może zdziwiać inicjatywa społeczna świadczą Baranów, Wspaniały renesansowy zamek, jeden z trzech najokazalszych — obok Wawelu i Krasyczyzna — został poważnie zdewastowany w czasie działań wojennych, a wieloletnie niewłaściwe użytkowanie pogarszało stan obiektu. Od kilku lat zamkiem zajął się Kombinat Siarkowy w Tarnobrzegu, który odbudował zamek z przeznaczeniem na muzeum.

Inny przykład — to zamek w Lesku, który objęła kopalnia „Makoszowy” z Zabrza, urządzając tam ośrodek wypoczynkowy. Zamki i pałace Rzeszowszczyzny, otoczone pięknymi parkami i położone w malowniczym krajobrazie, szczególnie nadają się na ośrodki wczasowe. Jednakże przykład kopalni „Makoszowy” nie może, niestety, znaleźć naśladowców.

Mimo wielu trudności stale powiększa się lista zabytków Rzeszowszczyzny, którym przywraca się dawną świetność. Ostatnio np. popularna stała się sprawa renesansowego zamku w Krasyczyźnie, który wymaga konserwacji. Jeszcze w tym roku zapadnie ostateczna decyzja co do terminu odbudowy i przyszłego przeznaczenia zabytku. Wiadomo, że w części zamku ma być urządzone muzeum, na wzór zamku w Baranowie i Łańcutu. A ten najbardziej chyba znany zabytek Rzeszowszczyzny cieszy się niebywająą frekwencją. Przez zamkowe sale i komnaty przewija się już trzeci milion zwiedzających. Na terenach przyzamykowych czynne jest Muzeum Powozów i ośrodek gimnastyczny w dawnej krytej ujeżdżalni. Kierownictwo Muzeum wspólnie z radą narodową i PTTK przekształca XVIII-wieczny zameczek, leżący w pobliżu zamku, w ośrodek kultury. Projektowane jest urządzenie w oranżerii małego muzeum przyrodniczego, a w budynku dawnego zarządu ogrodów — ulokowanie ogniska muzycznego z Łańcuta, które nie ma własnego lokalu. Zamek w Łańcutu przekształca się w wielki kombinat kulturalno-wypoczynkowy na użytek turystów i miejscowego społeczeństwa.

(Kt-PAP)

Józef Kret

MOJA DROGA...

Przysłowie ludowe mówi, że „gdzie się człowiek ulgnie — tam go ciągnie”. Sprawdzi się to przysłowie na mnie, bo pod jego wewnętrzny nakazem przyjechałem po latach do Rzeszowa, a ściślej mówiąc, do Staromieścia — mojej rodzinnej wsi, stanowiącej dziś część miasta Rzeszowa.

I ledwo strzeptałem pył podróży z obuwia, nie mogłem oprzeć się pokusie, by ruszyć zaraz w pieszą wędrowkę do wsi mojej babki — Trzebowniska. Pieszko, a nie wygodnym PKS-em. Jakże radowałem się, gdy maszerując asfaltową szosą przypomniałem sobie, jak przed 56 laty tedy właśnie, po wyboistym, zakurczonym gościńcu, odbyłem swoją drogę krzyżową, która kiedyś, po latach, miała zaprowadzić mnie do... Uniwersytetu Ludowego.

A było to tak.

W odległym o 6 km od Rzeszowa Trzebownisku, mieszkała samotnie moja babka. Prowadziła tam swoje małe gospodarstwo. Podstawą jej egzystencji na niewielu zagonach były dwie krowy i jeden corocznie wyhodowany prosiak. W mojej wyobraźni była uosobieniem dobroci. Żał mi jej było, że tak samotnie boryka się z losem. Dlatego chętnie godziłem się na propozycję matki, bym wakacje w roku 1910 spędził u babki i past jej krowy. Atrakcją dla mnie, ucznia gimnazjum rzeszowskiego, była też odmienność zajęć, miejsca i większa swoboda. W chwilach wolnych od pastwienia, rabałem drzewo, przygotowując babce opał na zimę.

Jednego żniwnego dnia miało nastąpić ważne wydarzenie w gospodarstwie babki: oto zbliżał się dzień wielkiego dorocznego jarmarku w Rzeszowie. Na ten nierównie ważny w życiu okolicznych wsi dzień, przygotowywała się także babka, a raczej przygotowywała swego wypieczanego, utuczonego na okrągło prosiaka. Miał być w tym dniu wyprowadzony na targowisko, a uzyskana za niego gotówka, najważniejsza pozycja w rocznym budżecie babki, miała służyć na opłacenie wszystkich najważniejszych potrzeb w roku.

Gdy nadziedział ten dzień, babka a święcie wymyśla wstępki, przygotowując go do szóstkiokilometrowej pieszej podróży. Nie chciałem pozwolić, by tę meczącą drogę z wypieganym produktem swą troskliwą hodowlą odbywała babka. Postarałem się nadto, by sąsiad jadący furmanką na jarmark podwiózł babkę do miasta.

Wczesnym rankiem tego pamiętnego dla mnie dnia, przywiązawszy mielki sznur do tylnego nogi wierzba, uzbrojony w kij, ruszyłem w drogę. Starołem się wszelkimi siłami przyspieszyć nasz pochód, by wcześniej, zanim pobjęda się panowie w mieście, znalazł się na miejscu targów aierogacizna. Balem się, by mnie w tej roli nie zobaczył ktoś, dla kogo stałbym się przedmiotem kłujących docinków i żółtych żartów. Liczyłem, że marsz ten nie potrwa dłużej niż dwie godziny.

Jednakże przeliczyłem się z siłami; sznur nie tyle swoim, co mojego podopiecznego. Nie przewidziałem, że mój wypieganowany, trzymany w chlewie bez ruchu, bez treningu, wychuchany tucznik nie był zdolny do odbycia w spiekocie lipcowego upału tak długiego marszu. Po przejeździe kilometrowego odcinka odmówił posłuszeństwa. Położył się na skraj gościny i ciężko odychał. Wstał jednak po dłuższym odpoczynku i żółtwin kłokiem, ku mej rozpaczy, bardzo powoli posuwaliśmy się dalej. Wzmagał się upał zmuszał do coraz częstszych postojów. Niewiele pomogło to, że doszedłszy do jakiejś kałuży przy drodze oblałem mego pasażera wodą dla ochłodzenia i zachęcenia do ruchu.

Ludzie śpieszący na jarmark pieszko i furmankami mijali mnie, a ich uwagi życzliwe lub zaprawione kpina kłubiły mnie jak szpilki. Nadzieja na szybkie zapalenie wierzba na targowicę okazała się ponna. Liczyłem, że wcześniej rano zanim koledy — panice pobjęda się, zanim ten i ów profesor ukaże się na ulicy — ja niezauważony przez nich oddam na targowisku mego czworonożną w ręce babki, a sam boćnymi ulicami czmychnę z powrotem do domu.

Na gościńcu przerzedziło się, przejechały już prawie wszystkie furmanki, nawet te, z najbardziej odległych wiosek. Na tej pustawie teraz drodze pozostał sam z moją zmorą.

Z przerażeniem popatrzyłem w stronę miasta. Jakże balem się w tej chwili. Strach i upał wydobrywały ze mnie siódme poty. Niech się dzieje co chce! Nie mam innego wyjścia: śmignąłem parę razy po białym grzbiecie opasłego leniwca i wkroczyliśmy w ulicę miasta. Ale już przy pierwszych zabudowaniach miejskich zatrzymały mnie jakiegoś opasłe typy, z grubymi palcami w rękę i cygarami w ustach. To przedstawiciele grubych ryb rzemieślniczych, mających zwyczaj w dni jarmarczne wysyłać swoich naganiaczy na przedpola, by u wjazdu do miasta przeprowadzić wstępne targi. Nazywano ich palczarzami. Ci już zazwyczaj unatrzonego delikwenta ze swoich rak nie wypuszczali. Dopadli mnie w pełnym napięciu nerwowym i natrzasając się z mojego pochodu posztukowali palcami wierzba. Pytali o cenę. Wmawiali we mnie, że na taka „zdechła” sztukę trudno będzie znaleźć kupca. Dostało się i mnie z rąk mojej jakoby niezdarności. W ich asyście, wśród naigrzań, zdążyłem

resztką sił w kierunku targowicy. Dla umniejszenia kompromitacji postanowiłem zredukować moje insygnia gimnazjalne — więc albo zerwać paski z kołnierza (oznaczałoby klasę, do której się uczęszczało), albo zerwać i schować czapkę. Łatwiej było uporać się z czapką, więc zdjąłem to sztywne czako z głowy i zmiąwszy je, wsadziłem za pachę. Tak krocząc po tej golgocie dobiegłem do targowiska, miejsca pełnego tłoku, zgiełku i wszelkiej brzydoty.

Odnalazłem babkę struchlałą od niepokoju wywołanego długim niepokojem wywołanym przez niepokojenie się. Ujrawszy mnie rozjaśniła się. Ale gdy spojrzała stan, w jakim się znajdowałem, tzy litości zamglili jej oczy.

Zaczął się teraz obrzydliwy proceder dobijania targu przez palczarzy. Porywali dłoń babki i uderzając w nią z całych sił swymi tłustymi rękami oferowali jakąś smiesznie niską cenę na początek. Ta szarpanina targowa, okraszona soczystym słownictwem, przedłużała się, dopełniając miary mojej goryczy. Ogarnęło mnie przemożne pragnienie opuszczenia jak najprędzej tego odrażającego miejsca, pełnego brudu, smrodu i krzyku, i handlarskiej brutalności.

Nie czekając na dobiecie targu wymknąłem się bocznymi uliczkami ze zniecierliwionego miasta. Coś mnie zepchnęło z gościńca, po którym odbyłem swą drogę, zbroczyłem na pola, by niepostrzeżony przez nikogo biec wzdłuż mego umiłowanego Wistoka do domu. To eiche, zielone, nadzreżne ustronie wydało mi się rajem w zestawieniu z brzydotą, fetorem i chamstwem targowicy. Idąc, a raczej biegając, wyparowywałem z siebie mekko dnia. Dotarłem do znanego mi miejsca, które zawsze przedstawiało dla mnie szczególny urok; w bezlesnej okolicy, kawał lasu z urozmaiconym drzewostanem stanowił dużą krajoobrazową atrakcję. Zmożony wysiłkiem i przeżyciami dnia, opadłem bezwładnie na murawę. Wpatrzony w tafle spokojnie płynącej wody poddałem się urokowi chwili.

Czas by ruszyć do domu, gdzie zwykle pod nieobecność babki rabałem drzewo, przygotowując dla niej opał na zimę. Należało też i krowy nakarmić przed wydojeniem. Ale nie chciało się opuszczać tego uroczyska, które jak balsam leczyło i zacierało doznane przykrości. Pozostałem więc i położywszy się w cieniu rozłożystej olchy puściłem wodze myślom i marzeniom. Opanowały mnie różne refleksje na temat przyczyn dnia i związanych z nimi przeżyć. Myśl wypełniała się goryczą i żalem do świata, do ludzi, do wszystkiego. Wyrwało się pełne goryczy i żalu pytanie: dlaczego?

Dlaczego w porównaniu z moimi uprzywilejowanymi kolegami szkolnymi byłem tym gorszym. Dlaczego wykonując moją pożyteczną pracę, musiałem kryć się z nią przed okiem kolegów i przełożonych. Spałem długo, bo gdy obudziłem się, słońce wskazywało, że to już daleko zaawansowane popołudnie. Zimny dreszcz wstrząsnął mną, poczułem się źle. Pobiegłem co sił do domu. Zastąpiłem babkę zrozpaczoną moją nieobecnością. Uradowana moim pojawieniem się nie chciała się zgodzić bym zawiódł jeszcze krowy na pastwisko. Wieczorem położyłem się w gorące do łóżka.

Przechorowałem tę „przygodę” parę dni. Przeżywałem na nowo gorycz owego feralnego dnia i snułem w swojej piętnastoletniej głowie marzenia o lepszym, doskonalszym świecie.

Tak to ta świńska droga i w jej następstwie choroba pobjęda i u mnie pierwsze medytacje nad dolą wsi, chłopca, nad krzywdą ludzka i jej przyczynami.

Upłynęły długie lata, wydłużone jeszcze okresem pierwszej wojny światowej. Ale w ciągu tych sześciu lat wojacki i pobytu w niewoli rosyjskiej nie opuszczała mnie myśl, której źródłem była tamta, przed laty odbyta droga na jarmark rzeszowski, myśl o radykalnej zmianie stosunków społecznych i gospodarczych.

Zrzuciłem mundur wojskowy i wpisałem się w rzesze studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Tu natrafiłem na grono kolegów o podobnych do moich poglądach. Znaćliśmy się w studenckiej organizacji pod nazwą Polska Akademia Młodzieży Ludowa (PAML). Tu spotkałem taką nieprzeciętną indywidualność, jaką był Ignacy Solarz. Działając nadto w Kole Pracy Społecznej (przy Małopolskim Tow. Rolniczym) jeszcze bardziej umocniłem się w przekonaniu, że obowiązkiem moim jest praca dla zrealizowania idei polskiej, w której chłop poczuje się „równy, swojo i twórczo” — jak mówił nieodżałowany Ignacy Solarz.

W r. 1925 odwiedziłem jego świeżo powołany do życia Uniwersytet Ludowy w Syczach. Przekonany teraz o wielkiej wartości społeczno-wychowawczej, takiej dla wsi, zrozumiałem, że nie zaznam spokoju, dopóki sam nie zorganizuję i nie poprowadzę Uniwersytetu Ludowego. Niestety, moja wrodzona nieśmiałość oraz niesprzyjająca ruchowi uniwersyteckim ludowych sytuacja polityczno-społeczna w okresie międzywojennym — opóźniała realizację powziętej decyzji.

Ale nie zrezygnowałem. Dla gruntowniejszego zapoznania się z metodą i całokształtem życia uniwersytetów ludowych udawałem się do ich ojczyzny Danii i innych krajów skandynawskich. Z takim zapasem pragnień, doświadczeń i przygotowań — przystąpiłem do zorganizowania i prowadzenia Uniwersytetu Ludowego na pięknej ziemi cieszyńskiej.

Trudny on miał początek, ale oryginalny żywot. Już pierwszy bowiem pięćmiesięczny zimowy kurs z braku własnego pomieszczenia, trzykrotnie musiał zmienić miejsce pobytu. Letnie zaś kursy (czteromiesięczne) w tamtym, międzywojennym okresie, prowadziły w otwartej przestrzeni, gdzie za sypialnie i uczelnie służyły wypożyczone namioty.

Wszystkie jednak niedogodności wynagradzało przeświadczenie, że tkwi się w akcji, która przybliży realizację takiej Polski, o jakiej marzyłem od dnia owej ciernistej drogi na jarmark w Rzeszowie.

Ryszard Błiski

WIELKA PRZYGODA

OKOLICZNOŚCIOWY STEMPEL

Urzędniczka ruchomego ambulansu pocztowego napracowała się tej niedzieli solidnie. Chyba w ciągu całego roku nie przybiła tylu pieczętek, co właśnie dziś. Okolicznościowy stempel, którym w dniu powrotu „Śmiałego” z wyprawy do Ameryki Południowej ozdabiano koperty i pocztówki podzielał jak magnes. Nie tylko na filatelistów. Stojąc właśnie w długiej wolno kureczącej się kolejkę. Pół godziny, godzina, półtorej... od zalewu wjeżdżał zimny wiatr. Podobno i na poczcie obok „Extry” (bar szybkiej obsługi) też stemplują — mówi jeden z młodych przemarniętych filatelistów. Na poczcie kolejka nie mniejsza, tyle tylko, że cieplej i... samoobsługa.

Okolicznościowy stempel wędruje z ręk do rąk. Ceremonia przykładania pieczęci odbywa się wyjątkowo uroczysto, dostojnie i dostatecznie długo, aby wyprowadzić oczekujących z równowagi. Ale i ci, którzy przed chwilą denrowali się na powolnych sąsiadów, też nie wiadomo po co chuchają na stempel, a później przez dłużące się sekundy nie odrywają go od koperty. Oczekiwanie skracać sobie niektórzy dyskusjami, doceniają widać bardzo swój czas, bo zaraz przeliczają czy im się to stanie opłaca? Opłaca. Z pewnością, skoro przewidują, że za pół roku koperta ze stemplem i znaczkiem za 60 groszy będzie miała wartość 300 złotych. Nic więc dziwnego, że niektórzy przykładają i po 50 stempli. Przyszli milionerzy...

CZTERDZIEŚCI JEDEN DNI NA ATLANTYKU

Ze „Śmiałym” rozstaliśmy się 1 września 1966 r. w dniu wyjścia jachtu na Atlantyk. Podróż przez ocean trwała 41 dni. Obfitowała w wiele przykrych niespodzianek. Jedną z najprzykryjszych był sztorm, który trwał 5 dni. Komisyjnie ustalono, że wysokość fal dochodziła do 8, a nawet 110 metrów. Dla transatlantyka nie powód do alarmu, ale dla łupinki, która wystawała tylko 70 cm. ponad poziom wody, takie zwały sztormowych fal stanowiły duże niebezpieczeństwo. Sternik musiał być przywiązany liną, by go nie zmyły z pokładu fale.

Czy więc wyprawa przez Atlantyk nie była zbyt wielkim ryzykiem? Przecież w każdej chwili jachtowi groziło zatonięcie — pytali dziennikarze uczestników wyprawy.

Tak źle nie było. Jacht zbudowany na zasadzie „waniki-wstanki” szalenie zamknięty, (by woda nie zalała pomieszczeń) mężnie stawiła czoła sztormowym falom. Z tej próby się pokonane wychodziły natomiast zwykłe żagle. Po wspomnianym sztormie kapitan był zmuszony ogłosić alert żaglowy. Dzień i noc sztyto porwane płótna, odkładając na bok inne czynności w tej sytuacji mniej ważne. Kapryśna pogoda opóźniła powrót wyprawy. Droga wydłużała się. Dwa tygodnie zamiast tylko 3 doby jacht pokonywał np. 300-milowy odcinek drogi. „Śmiały” płynął samotnie przez wiele dni. Spotkania ze statkami były nie lada wydarzeniem. Tym bardziej że na widok „Jupinki” po-



Fot. M. KOPEC

teżne transatlantyki wiały syreny i wykonywały wokół niej honorowe rundy.

Pewnego dnia w oddali ujrano tratwę ratunkową. Spokanie z tratwą na sreku Atlantyku — coś niezwykłego. Czuliśmy się już bohaterami — wspominają żeglarze — uratujemy z pewnością rozbitków. Ale niełatwo widać zostać dziś bohaterem... tratwa była pusta. Później dowiedzieli się, że należała do jednego z norweskich tankowców.

I NA OCEANIE RYBY SĄ RARYTASEM

Zapasy żywności, które zabierała z portów na pokład załoga „Śmiałego” kureczyły się z dnia na dzień. Po kilku, co najwyżej kilkunastu dniach co wybredniejszy uczestnik wyprawy rezygnował z mięsa na rzecz sucharów. Skoro mowa o jedzeniu... tylko kilka razy kucharz wyprawy (w cywilu elektronik, dziennikarz i kapitan jachtowy) — Krzysztof Baranowski miał okazję przyrządzić kolegom świętą rybę. Łowili bez powodzenia. Atlantyckim rybem smakowały nie tylko przynęty, ale i haczyki. W krótkim czasie wyczerpał się cały ich zapas. Na patelnii trafiały ryby, które przypadkowo rzucane przez fale wpadały na pokład. Rola kucharza na statku była wyjątkowo trudna i odpowiedzialna. Uprząsił obiad podczas szalejącego sztormu, to nie lada sztuka. Toteż był on podobnie jak kapitan i kierownik naukowy wyprawy zwolniony z pełnienia wachty. Z kuchni sypały się nieraz soczyste wiązanki. Oznaczało to zwykle, że zawartość nie przywiązanego garnka Krzyś zbiera właśnie z podłogi.

Załoga jachtu spotykała się 3 razy dziennie przy posiłkach. To była zarazem okazja do krótkich pogawędek. Dyskusje towarzyszyły także codziennemu zajęciu — szcycu żagli. Czasem podczas bardziej uroczystych spotkań śpiewano przy akompaniamencie lutni.

Stosunki społeczne na jachcie cechowało zgranie i duża lojalność. Warunki do życia i pracy naukowej nie były łatwe. Najbardziej przykro dawała się odczuć ciasnota, brak pomieszczeń.

PLON WYPRAWY

Wyprawa — mówi docent dr Tadeusz Wilgat — miała za zadanie dostarczyć materiału do opracowań naukowych i popularyzacyjnych, rozświetlić Polskę za granicą i oczywiście wyczyn żeglarski. Zadanie żeglarskie zostało uwieńczono sukcesem. Jacht polskiej produkcji zdał egzamin, a załoga wykazała sprawność fizyczną i odporność psychiczną, niezbędne przy tak długiej i ciężkiej podróży. Bardzo duże są osiągnięcia propagandowe. Wyprawa była tematem wielu audycji radiowych i telewizyjnych oraz artykułów w prasie innych krajów. Popularyzowaniu polskiej wyprawy służyły oprócz wywiadów odczyty, które mieli uczestnicy w kilku miastach, kontakty z naukowcami i żeglarzami, spotkania prywatne i wizyty oficjalne, z których najważniejszą była wizyta u prezydenta Argentyny.

Zbrano bogaty materiał do opracowań popularyzacyjnych (vide ar-

tukęty w prasie polskiej i audycje radiowe). Plony zbierać się będzie jeszcze długo. Akcja ta nie tylko popularyzuje Polskie Towarzystwo Geograficzne, ale służy też szerzeniu wiedzy o świecie. Zwraca uwagę czytelników ku morzu, co ma duże znaczenie dla wychowania morskiego społeczeństwa, zwłaszcza młodzieży. Podkreślił to w rozmowie z uczestnikami wyprawy prof. dr Stanisław Kulczyński.

Program naukowy obejmował prace na morzu i na lądzie. Na morzu wykonano pomiary aktywności i kateterometryczne. Zebrane materiały zostaną przekazane do opracowania Zakładowi Meteorologii i Klimatologii Polskiej Akademii Nauk.

W pierwszej części wyprawy dr T. Romer badał reakcję organizmu ludzkiego na trudy jachtowej wyprawy. Załoga „Śmiałego” poddana też była badaniom psychotechnicznym przed wyprawą i w czasie jej trwania.

Badania zasadnicze przeprowadzono w Chile (pisałmmy o tym w poprzednim odcinku). Zebrano obfity materiał, zgromadzono liczne dane z wielu instytucji. Wszystko posłuży do opracowania monografii hydrogeograficznej zlewni Aconcagua. Opracowanie takie może mieć znaczenie teoretyczne, gdyż w literaturze światowej brak jest danych o rzekach chilijskich oraz posłuży dla racjonalnego zagospodarowania zlewni. Nawiazano liczne kontakty naukowe m. in. z instytucjami geograficznymi uniwersytetów w Rio de Janeiro, Monte Video, Santiago, Valparaiso i Limie, a także instytucjami naukowymi, jak Biura Meteorologiczne i Hydrograficzne w Rio de Janeiro, instytucjami prowadzącymi badania lub gromadzącymi materiały naukowe: Przedsiębiorstwo Elektryfikacji w Chile, Służba Konserwacji Gleb i Wód również w Chile i in. Być może, wiele z nawiązanych kontaktów będzie miało charakter stały.

Biorąc pod uwagę wszystkie osiągnięcia, można ocenić w sumie wyprawę za udaną zarówno z żeglarskiego, jak i geograficznego punktu widzenia.

Kiedy wyszedłem z zamku książąt Pomorskich w świetle lamp ulicznych dostrzegłem znajomą postać... tak, to kapitan Kowalski. Podszedłem, przeprosiłem i podsunąłem do podpisu trzymaną w pogotowiu kopertę, na której obok okolicznościowego stempla widać jest teraz autograf kapitana „Śmiałego”.

RSZARD BŁISKI

PS.

Ponieważ w opisie wyprawy szeregi wydarzeń związałem tylko z niektórymi jej uczestnikami, dla pełności obrazu warto przedstawić pozostałych. Prezentujemy więc całą załogę „Śmiałego”: kierownik naukowy doc. dr Tadeusz Wilgat, kpt. — mgr Bolesław Kowalski, zastępca kierownika naukowego dr Krzysztof Wojciechowski, pierwszy oficer i lekarz — dr Tadeusz Romer, drugi oficer, a po odejściu Romera pierwszy oficer — inż. Jerzy Knabe, drugi oficer mgr Ludomir Mączka, mgr Bronisław Śladek — geograf redaktor „Poznaj Świat” i inż. Krzysztof Baranowski (dziennikarz i kucharz wyprawy).

(t. b.)

Irena Pitula — Rożniatowska

„Westerplatte” na scenie „Fredreum”

Rosną na ziemi polskiej pomniki chwwały i bohaterstwa narodu. Z sylwetką Warszawy zespoliła się bohaterka Nike, na Westerplatte wznosi się granitowy masyw, uwieczniający heroizm obrońców tego bastionu. W kategorii patosu i wzniosłości wyraża plastyka polska niedawne dzieje naszego kraju.

W literaturze jednak — w dramacie zwłaszcza, tak zdawać by się mogło powołanym do uwiecznienia dla potomności tragedii i bohaterstwa narodu — trudno doszukać się tych pomnikowych dzieł.

Rewizjonizm, weryfikacja przeszłości, przemądrzały sceptycyzm, pozwalający zachować trzeźwy dystans w odniesieniu do tamtych, jakby nie naszych już spraw — oto metody przekazu treści lat wojny i okupacji — w przeważającej większości dzieł naszej dramaturgii scenicznej, a także filmowej. W filmie np. nie mamy tak pomnikowych i wzniosłych dzieł, jak radziecka „Ballada o żołnierzu” czy „Los czowieka” — mamy za to: „Kamienne niebo” (niech potomni zobaczą brudną podszewkę tego wszystkiego — że niektórzy dostrzegają tylko podszewkę — nie szkodzi). Na tle tej filmowej i scenicznej dramaturgii, dokonującej wtwiskej na czymś, co jeszcze ciągle żywe w świadomości i

sztuki zawiera się owo uogólniające odniesienie opowieści o żołnierzach z Westerplatte do każdego „polskiego Termopile”.

Wolno twórczemu reżyserowi i scenografowi przeciwstawić wizji aktorskiej inny kształt plastyczny sztuki. Wolno i trzeba, wtedy zwłaszcza, gdy to, co proponuje dramaturg jest z tych czy innych względów nie do przyjęcia dla teatru. W dramacie J. Skowrońskiej-Feldmanowej — zawarta w tekście poboczny plastyczny i funkcjonalna wizja sceniczna powinna być jak najbardziej respektowana przez scenografa.

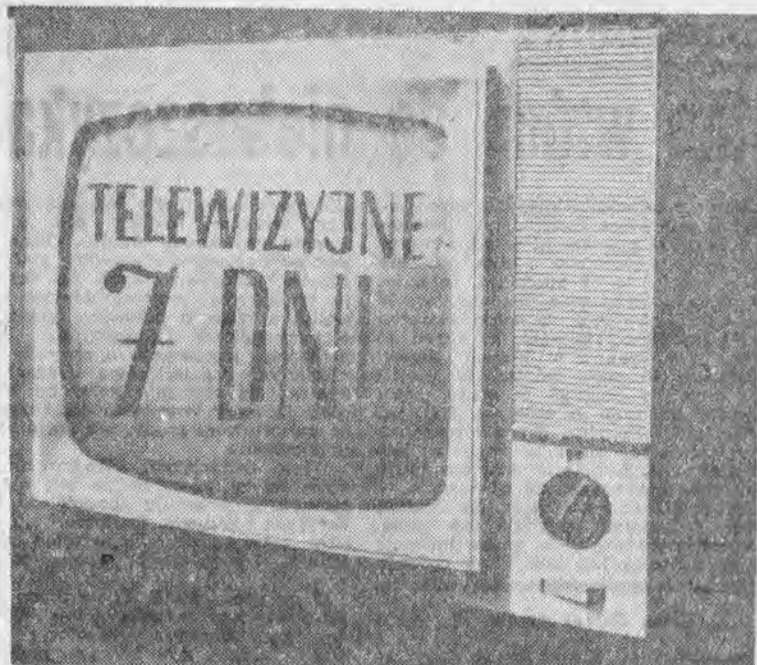
Odejście od sugerowanego przez autorkę kształtu scenicznego sztuki odbiło się niekorzystnie na całości spektaklu. Oprawa plastyczna, jaką otrzymała „Westerplatte” na scenie „Fredreum” nie da się wyłumaczyć dążnością do ominięcia technicznych trudności. Nie upraszcza i nie ułatwia niczego. Ten sam wysiłek włożony w próbę realizacji, koncepcji scenicznej autorki dałby jakiś efekt artystyczny. Masywne budowale wzniesione na scenie utrudniają zmiany dekoracji, są „nijakie”, zbyt dosłowne. Długie przerwy wypełnione sztukami miotków, rozrywają nastrój, burzą to, co w czasie trwania akcji stworzył reżyser i aktorzy. A

tucznych (tak, to staromodne „przeżywanie” na scenie amatorskiej jest czymś bardzo cennym).

Próba najbardziej choćby zwięzłej charakterystyki poszczególnych ról w sztuce o bardzo dużej obsadzie przekroczyłaby ramy sprawozdania. Niech mi więc darują odtwórcy poszczególnych postaci, że potraktują ten tłum oficerów, podoficerów i żołnierzy — jako zbiorowość i pełną szacunku dla ich trudu, stwierdzą, że wszyscy od pułkownika do zwykłego żołnierza swoje bojowe zadanie — odtworzenie postaci bohaterów Westerplatte — spełnili dobrze.

Ta zbiorowość żyje na scenie. Wojsko jest wojskiem (role wojskowych nastroją często trudności aktorom). Tu na tej scenie panuje atmosfera koszar, wojskowego koleżeństwa, zbiorowej odpowiedzialności...

Przedstawienie nie jest pozbawione błędów i usterek, mimo to jest bardzo interesujące i warte obejrzenia. Gdybym miała wybierać pomiędzy poprawnym spektaklem tego dramatu, wystawionym w jakimś teatrze zawodowym, a przedstawieniem Fredreum — wybrałabym to ostatnie. Wydaje mi się bowiem, że „Westerplatte” prezentować powinien najwyższej klasy teatr zawodowy, albo też żarliwy i przejęty treścią dramatu — teatr amatorski.



Nieraz już miałam okazję mówić dobrze na tym miejscu o Małcużyńskim i sobotnim „Monitorze”; jest to jeden z tych programów, nad którymi przemyśleliśmy się myśli, które się komponuje jako półgodzinna całość najciekawszych wydarzeń tygodnia oraz dba o formę, odróżniając „Monitor” od codziennych dzienników. Poza tym swoboda Małcużyńskiego, wolna od nonszalanckiego udawania swobody wielu naszych prezenterów programów, autentyczna, z leciutkim zaledwie zabarwieniem humorystycznym, taktowne uszuwanie się z planu, gdy prezentuje rozmówcę, nienatrzętnie wtrącając zawsze przy tym rzeczowych i zasadniczych pytań — oto tajemnica jego powodzenia i świadectwo kulturalnej pracy.

Ostatni „Monitor” poświęcił w wielkiej części trzeciej rocznicy śmierci Kennedy’ego i nie tylko przypominał jasno a zwięźle przebieg wypadków, ale zaprezentował nam jednego Polaka, który przedstawił w całości 26 tomów ostatniego raportu Warrena, umieszczając powściągliwie przez opinię światową w rzędzie dokumentów, prowokujących swoimi niejasnościami ponowne śledztwo.

Naturalnie, że ograniczony czas Tadeusza Polanowskiego nie pozwolił na bardziej szeregowej analizie zeznań świadków, ale wybrany przez niego moment sprawy kubańskiej a zabójstwa był na tyle pasjonujący i dwuznaczny, iż żalowało się, że nie cały „Monitor” oddano mu w gospodarzenie. I może dobrze by się stało, gdyby ktośkolwiek w telewizji pomyślał nad wykorzystaniem wiedzy Polanowskiego o faktach w ponownym programie, naturalnie z Małcużyńskim jako interlokutorem.

Następna „personality”, jaka zaczęła się pojawiać z miesięczną częstotliwością w telewizji — to Artur Sandauer. Myślę, że brak nam było dotychczas swobodnej pogadanki na tematy literacko-krytyczne i że 10 minut recenzji, często nawet błyskotliwe o jednej konkretnej pozycji wydawniczej — to zupełnie nie to samo, co szeroka panorama życia literackiego i konkretne za-

gadnienie z tego zakresu, jakim było ostatnie niedzielne „Nic świętego” — czyli o potrzebie ostrej krytyki literackiej oraz jej aktualnym stanie. Sandauer stygnie z bezkompromisowej zadziorności, Sandauer przy tym umie mówić i rozporządza imponującą erudycją — Sandauer przeto ma szansę zająć naszą uwagę niepodzielnie. Dlatego nie przegapcie następnego Sandauera w którąś z grudniowych niedziel.

Zacznijcie także obserwować dokładniej ciekawy typ audycji, nazwanej „Dobry wieczór, jak minął dzień?” Oczywiście, że można jej było dotychczas zarzucić sporo, że dotyczyła czasem tematyki bardzo obojętnej, że szwankowała w niej praca poszczególnych reporterów, ale śródowy program z Biura Ogłoszeń — to publicystyka oparta na pomysły znakomitym i mającą uzasadnione pretensje do uogólnienia. Poprzez wędrowkę po najpocześniejszych ogłoszeniodawcach, poprzez szukanie motyłów ogłoszeń, poprzez zabawne czasem rozmowy, typu „lokomotywy nam potaniały”, Tadeusz Koliński z czwórka reporterów zbudował swoisty dokument obyczajowy i podsunął przed oczy telewidza często niedostrzegalne przemiany mentalności społecznej bez natręctwa i łopatologii. Za bardzo monotoniście co prawda rozbił pewne sytuacje, związane z usługami, ale podejrzewam, że cel, jaki mu przysłużył w podniesieniu rangi tychże, nieco zamazał dobry skład inąd pomysł i ślepił inwencję. Była to wszakże jedna z nielicznych prób żywej publicystyki, uchwycenie życia na gorąco, próba nienującego przekroju minionego dnia.

Inną próbą inteligentnej roboty reporterskiej Wielowiejskiego i Wójcika była niedzielną sylwetka proboszcza z Kurowa Wielkiego nad Odrą, Stareńki i ksiądz, dożywający swoich dni na polskiej ziemi, mozołnie tę ziemię uprawiający, z pasją autochtoną gromadzący w wiejskim kościółku swoiste archiwum i skarbnicę polskiego dokumentu historyczno-literacko-artystycznego — to piękny fragment walki o polski dobór portretów w cyklicznych „Ludziach i zdarzeniach”.

Nie mogę, niestety, z czystym sumieniem pochwalić zrealizowanego przez Tadeusza Drewnowskiego i Krzysztofa Zanussi portretu Marii Dąbrowskiej. Przesłany wizerunek wielkiej pisarki, liryczne obrazki z Kalisza, Rusowa i Warszawy, zbyt mało ludzi mających szczęście znać pisarkę i zbyt wągie ich relacje osłabiły tę wędrowkę po śladach, tak przecież niedawnych, tak jeszcze żywych. Brakło temu programowi piękny moment tropienia osobistych przeżyć Dąbrowskiej w zestawieniu z jej powieścią — rzeką, sensowny i celowy, zapowiadający, bez spełnienia, próbę takiej analizy. Niestety, później, zagubiona w nieklarownej materii dokumentu, w chaosie wstawek teatralnych, w nie najlepszym wreszcie doborze ich fragmentów.

I na zakończenie wspomnijmy z przyjemnością lekką, ba, nawet mocno podkaszana muzę, Myślę naturalnie o „1000 sekund z Anną Kitcho-mann” — rewolucjonistką międzywojennej piosenki — kompozytorką z dowcipem i śmiałością, muzycznym uchem i wdziękiem słowa, prowokującą nimi nawet Sempolnickiego do sobotniego występu, w którym dwuznaczność, najprawdawsza liryka, humor i nawet śpiewki Kolbergowe przepływały się z zadumą, że niedyszyjsze piosenkarstwo błyskotliwsze, niestety, błyskotliwsza.

KRYSTYNA



Akt V „Westerplatte” Janiny Skowrońskiej-Feldmanowej — „Fredreum” w Przemyslu.

Fot. MIECZYSLAW NYCZEK

sercach ludzkich — dramat J. Skowrońskiej - Feldmanowej wyróżnia się kategorią wzniosłości i szlachetnego patosu. Jest literackim pomnikiem, hołdem pisarki polskiej dla bohaterstwa załogi Westerplatte.

Dramat oparty całkowicie na autentycznym materiale (notatnik majora Sucharskiego, dokumenty z archiwów MON, wywiady z uczestnikami walki). Dialogi oparte na wspomnieniach pozostałych przy życiu obrońców Westerplatte, słowem jak najwierniej zrekonstruowana rzeczywistość owych siedmiu historycznych dni. Podtytuł utworu brzmi: „Kronika siedmiu dni września 1939 r. — bohaterstwa oporu żołnierza polskiego przeciwko napaści hitlerowskiej”. Pozbawiony elementów fikcji literackiej ten werystyczny dramat nie jest tylko scenicznym reportażem.

Kompozycje utworu, a bardziej jeszcze zawarta w didaskallach wizja sceniczna — sprowadzają ów autentyczny opis siedmiu dni walk do wymiarów wielkiego symbolu.

W naszkicowanym w autorskich didaskallach kształcie scenicznym

nastrój jest — i to chyba najważniejsze osiągnięcie reżysera (Stef. Żółtowski) i aktorów. Osiągnięciem są również dobrze rozwiązane sceny zbiorowe. W przedstawieniu biorą udział jako statystki żołnierze z Przemysla. Te partie tekstu, które wygłaszają w scenach zbiorowych, brzmią wzruszająco, stają się ich własną manifestacją uczuć patrio-

wy, albo też żarliwy i przejęty treścią dramatu — teatr amatorski.

Premiera „Westerplatte” stała się wydarzeniem w życiu teatru i miasta. Wśród widzów znajdowała się autorka — dr Janina Skowrońska-Feldmanowa oraz uczestnicy walki o Westerplatte: por. Leon Pajk, por. Stefan Grodecki, mjr Jan Gryczman.

Konstanty Simonów: NIKT NIE RODZI SIĘ ŻOŁNIERZEM. Wwa 1966, MON, t. 1-3, s. 292+322+341, cena 1/III 30 zł.

W ramach „Biblioteki Powszechnej” w dużym nakładzie dalszy ciąg siłmowanej epopei wojennej „Żywi i martwi”. Akcja omawianej powieści rozgrywa się w czasie, gdy waga się losy Stalingradu, a armia radziecka zaczyna odnosić zwycięstwa. Autor pokazuje na tym tle dalsze losy bohaterów, których najśmieszniejsza więź zrodzona na pierwszej linii frontu. Ciekawą jest powieść gorące polecamy.

Dwie z hoteli pozycje z cyklu „Miniatury morskie”:

Marian Mickiewicz: ODMIENIENIE — Opowieść o Adamie Mierostawskim. Gdynia 1966, Wyd. Morskie, s. 84, cena 4 zł.



Jest to zbeletryzowana opowieść o życiu i działalności byłego adiutanta Sowńskiego, brata Ludwika, Adama Mierostawskiego, dzielnego marynarza, który pil wódę za wszystkich oceanów świata, walcząc również „O wolność Wasz i naszą” w czasie Wiosny Ludów.

Wiktor Pepiński: PADMORSKI TUNEL. Wyd. Morskie, Gdynia 1966, s. 82, cena 4 zł.

Autor przytacza historię wieoletnich starań o wybudowanie tunelu pod Kanalem La Manche. Pokazuje różnorakie koncepcje i trudności z ich realizacją związane. Podkreśla równocześnie potrzebę połączenia Wysp Brytyjskich z kontynentem.

Czesław Ostankiewicz: BAGAZE PEŁNE NIEPOKOJU. Poznań 1966, Wyd. Poznańskie, s. 134, cena 12 zł.

Jest to zbiór 20 opowiadań. Łączy je w całość wspólna tematyka. Jest nią świat obozów, krematoriów, nadludzkiej, upokarzającej pracy. Również o skutkach obozowego życia.

Andrzej Kuśniewicz: EROICA. Wwa 1966, PIW, s. 289, cena 16 zł.

Konstrukcja powieści jest prosta: czterech mężczyzn siedzi w kryminale i opowiada współwzajemnie, bądź przerywa sobie wzajemnie epizody z życia w okresie II wojny światowej. Jest wśród nich np. Francuz i Niemiec. Akcja poszczególnych fragmentów przenosi nas kolejno do Francji, Niemiec, Rosji. Ciekawa charakterystyka postaci.

NOWY PRZEGLĄD. Wwa 1966, KIW, s. 290, cena 75 zł.

Jest to wydane przez Zakład Historii Partii przy KC PZPR reedycja teoretycznego organu KC Komunistycznej Partii Polski, który ukazywał się nielegalnie w latach 1922-1937. Omawiany, szósty z kolei tom reedycji obejmuje 5 numerów „Nowego Przeglądu” z roku 1929.

Paweł Hertz: SEDAN. Wwa 1966, PIW, s. 271, cena 15 zł.

Trzeci wydanie doskonałych esejów, obrazujących idee kultury i sztuki lat międzywojennych. Autor — znany poeta, eseista i tłumacz średniego pokolenia.

Stendhal: PUSTELNIA PARMENSKA. Przeł. i wstępem poprz. T. Zelenicki. T. 1-2, Wwa 1966, PIW, s. 503, cena 30 zł.

Wznowienie (po raz piąty) znanej książki Stendhala, która ukazała się drukiem w roku 1839. Powieść jest wielkim, realistycznym obrazem Włoch epoki ponapoleońskiej, a zarazem ciekawą analizą stanów duszy kobiecej.

CICHO DON. Wieczór estrady literackiej opracowany na podstawie powieści Michała Szolcowa. Wwa 1966, CPARA, s. 70, cena 24 zł.

Nowy tomik przeznaczony dla teatrów estradowych. Oprócz adaptacji scenicznej zawiera uwagi inscenizacyjne oraz scenografię (z przedstawienia „Cichego Donu” w Teatrze Starym w Krakowie). Na końcu partie muzyczne przedstawienia (teksty i nuty).

Paulina Hołyszowa: NASZE WESELE. Lublin 1966, Wyd. Lubelskie, s. 178, cena 15 zł.

Kolejny tomik z serii „Lubelskiej Biblioteki Ludowej”. Autorka otworzyła w nim przedbieg wesela na podchelmskiej wsi, nadając mu formę sztuki teatralnej. Autentyczne obrzędy, obyczaje, pieśni. Barwne widowisko ludowe.

Ogniska artystyczne

Z każdym rokiem rozszerza się sieć placówek prowadzonych przez Towarzystwo Ognisk Artystycznych (dawne Towarzystwo Muzyczne) w Rzeszowie — mowa tu przede wszystkim o społecznych ogniskach muzycznych, których liczba na terenie woj. rzeszowskiego przekracza 50, przy 2 500 uczestnikach. W bieżącym roku działacze Towarzystwa wspólnie z ZPAP zainicjowali nową formę działalności w zakresie upowszechniania kultury — organizowanie społecznych ognisk kultury plastycznej.

Pierwszą tego typu placówką ma być Społeczne Ognisko Kultury Plastycznej w Rzeszowie, któremu gościnny udzieli Garnizonowy Klub Oficerski.

W ognisku grupować się będą dzieci i młodzież, która pod kierunkiem artystów pedagogów uczestniczyć będzie w zajęciach z zakresu sztuk plastycznych i specjalnych cysyplin użytkowych na poziomie odpowiednim do wieku i zaawansowania dzieci i młodzieży.

Organizatorzy liczą, że inicjatywa zorganizowania tego rodzaju placówek znajdzie poparcie w społeczeństwie, stąd też kierują apel pod adresem tych wszystkich, którzy interesują się sztuką, a w szczególności tych, którzy pragnęliby uczestniczyć w tej nowej formie upowszechniania kultury plastycznej na terenie naszego miasta i województwa, by włączyli się do współpracy.

Do Społecznego Ogniska Kultury Plastycznej może być przyjęty każdy, kto posiada zamieszkanie i podstawowe uzdolnienia plastyczne.

Rossellini:

Nie wróćę do nieboszczyka

Jeden z najwybitniejszych przedstawicieli włoskiego neorealizmu Roberto Rossellini powiedział w udzielonym niedawno wywiadzie: kina już nie ma, umarło, to co pozostało, to balet widm, przedstawienie bez widzów. W Ameryce powstaje obecnie czwarta część tej liczby filmów, co przed 15 laty. We Francji w kinach świeci pustkami 90 proc. miejsc. W Anglii sprzedawano niegdyś w ciągu roku półtora miliarda biletów, a dziś już tylko 435 milionów. Nicco lepiej jest we Włoszech, ale i tu zagłada jest nieuchronna. Ludzie zresztą postępują szalenie, odwracając się od kina.

„Za garść dolarów”. Nie ma między nimi większej różnicy niż między dwoma gatunkami mydła. Osiągnięto stopień naśladowania godny małpy. Z filmów przedstawionych na festiwalu w Wenecji przynajmniej w dwunastu, a więc w połowie, była mowa o przypadkach klinicznych, kompleksach psychopatologicznych wyniesionych z dzieciństwa, urazach. Reżyserzy są znacznie gorsi od krawców. Krawcy tworzą modę, reżyserzy są zaś ofiarami mody, nie mają nic do powiedzenia.

(Ciąg dalszy ze str. 2)

pracochłonna, ale dopracowana w najdrobniejszych szczegółach, barwna i niezwykle efektowna. Kilkuletnie poszukiwania w folklorze ziem krosnieńskich dały piękny rezultat. Wiktor Łącki jako autor widowiska, a zarazem reżyser całości i wykonawca jednej z głównych ról, odniósł piękny sukces, wskrzeszając tę zapomnianą już formę sceniczną.

W pewnej chwili dziennikarz przeprowadzający wywiad przerwał: widzi pan wszystko w czarnych barwach. Czy nigdy nie pomyślał pan jednak, że to może pan umarł, a nie film? Wielu powiada — Rossellini nie ma już nic do powiedzenia...

A niech mówiał! To mnie nie trytuje, to mi się nawet trochę podoba. Odszedłem od filmu i nie wróćę do nieboszczyka. Już od 5 lat nie pracuję i nie zarobiłem ani lira. Pozwoliłem sobie natomiast na przyjemność szukania i tworzenia czegoś zupełnie nowego. Znalazłem nawet na to pieniądze.

Noszę się z zamiarem zrealizowania szeregu wielkich epickich fresków poświęconych człowiekowi, społeczeństwu. Czy widział pan „Żelazny wiek”, który zrobili dla telewizji? To dopiero wprawka. Potem nakreśliłem „Objęcia władzy przez Ludwika XIV”, który wyświetlano w Wenecji poza konkursem. Jest to tylko szkic historyczny, odznaczający się całą dokładnością utworu historycznego, a jednocześnie wszystkimi elementami akcji scenicznej. Wkrótce zacznę pracę nad filmem poświęconym walce, jaką prowadził człowiek ze śmiercią i tymi wszystkimi problemami, które rodzi postęp.

A więc filmy dydaktyczne. Czy jest pan przekonany, że znajduje się pan na słusznej drodze?

Jestem całkowicie przekonany, że to jest jedyna droga. Jeżeli człowiek nie będzie miał historycznego spojrzenia na świat, jeżeli nie potrafi widzieć siebie na tle dziejów ludzkości, jeżeli nie znajdzie dla siebie miejsca w zmieniającym się świecie — zginie. Jedynym środkiem nadążania za postępem technicznym jest postęp intelektualny, kształcenie się. Najszerszą, najbardziej bezpośrednią i dostępną formą nauczania jest dziś obraz. Nakrećmy filmy, które pokazują w telewizji. Aby móc je realizować szukam pieniędzy, a w telewizji najłatwiej je znaleźć. Nakrećmy filmy, aby ludzie je oglądali, a telewizję oglądają, do kina zaś nie chodzą.

JULIAN WOZNAK



WIKTOR NOWICKI — sekretarz Zarządu Oddziału Wojewódzkiego Związku Teatrów Amatorskich w Rzeszowie.

Rys. J. SIENKIEWICZ

Sienkiewicz w komiksach

Sienkiewicz schodzi do form komiksowych — sygnalizuje Bogdan Zakrzewski w ostatnim zeszycie „Pamiętnika Literackiego” — do form komiksów, co prawda o charakterze szlachetnym, dzieląc pod tym względem los innych wielkich klasyków literatury światowej, a więc Homera i Szekspira, Waltera Scotta, Wiktora Hugo i Dickensa — aż do H. G. Wellsa. Wraz z nimi wrażli nasz znakomity pisarz do angielskiej serii komiksowej „Classics Illustrated” (podtytuł „Festuring stories by the world's greatest authors”), gdzie znalazła się angielska przerobka „Ogniem i mieczem” w klasycznym ujęciu komiksowym, opracowanym przez anonimowych autorów („With fire and sword”, H. Sienkiewicz”). Wydawnictwo uzupełniło edycję informacją o życiu i twórczości Sienkiewicza, „mistrza powieści historycznej, stojącego w czołówce europejskich powieściopisarzy”.

Z komiksowej przeróbki powieści Sienkiewicza został usunięty cały wątek miłosny i związane z nim perypetie Skrzetuskiego i Heleny. Szeroko rozbudowano natomiast sceny batalistyczne i momenty heroiczne (wyprawa Skrzetuskiego ze Zbaraża). Całkowicie chybiona jest postać Zagłoby, przypominająca amerykańskiego pastora.

A oto jeszcze inny przykład komiksowej adaptacji Sienkiewicza. W Kurytybie, stolicy brazylijskiego stanu Parana, w którym mieszka stara i znaczna liczebnie kolonia polska, ukazała się w czasopiśmie, w języku portugalskim „Fezera Missionario” przerobka w formie komiksu „W pustyni i w puszczy”. 424 klisz obrazkowych tej edycji użyto następnie do polskiej wersji powieści w rysunkach, której wydawcami byli Józef Górski i Filip Dachowski. Tekst Józefa Górskiego został opracowany w dobrej polszczyźnie, natomiast obrabki wypadły jak najgorzej.

DWUTYGODNIK
POŚWIĘCONY
DŁYCIĄDOM
SARMATÓW



REDAGUJE
E. GAJEWSKI
RYSUJE
J. SIENKIEWICZ

ALBOŚMY TO CACY, CACY...

Przygody pana Kowalskiego w krainie Sarmatów

Klamka zapadła. Lekarz zalecił profilaktycznie zmianę środowiska. Straszne przeżycia ostatnich dni nadszarpnęły wiaty system nerwowy p. Kowalskiego i głęboko ukłwily w jego podświadomości. Niełatwo to rzecz pozbyć się psycholeków niezależnych od naszej świadomości i nieświadomości.

— Ale my nie mamy pana oicy-cia!

— To jest skandal — wybuchnął oburzony Kowalski — pan robi ze mnie wariata.

Bezczelny lajdak z tego garderobianego, jeszcze mruga filuternie okiem i rozkłada ręce. Pan Kowalski doprowadzony do szewskiej pasji, ryknął:

— Kierownik!

Kierownika nie było, a garderobiany wskazał ręką na napis, którego przedmiotem pan Kowalski nie zauważył: „Za garderobę nie bierzemy odpowiedzialności”.

Kowalski opuścił kawiarenkę z różnymi psycholekami. Wędrując ulicami stolicy Sarmacji z głową pełną jak worek kapusty, zwrócił uwagę na piękny architektoniczny obiekt, na którym już z daleka widniał napis: „Piłwalnia”. Pan Kowalski miał powody, aby popływać, a nuż zdola ostudzić swoją rozpaloną głowę. Kąpiel w tym pięknym krytym basenie była prawdziwą rozkoszą. Nagle ogarnął go niewysłowiony lęk i resztkami swojej świadomości skonstrantował, że ślabnie — serce! Ostatkiem sił zaczął wzywać pomocy, lecz nikt na niego nie zwracał uwagi. Tracił przytomność... Gdy ocknął się, leżał na dnie basenu, a ktoś krzyczał:

— Cholerne awarie, znowu woda spłynęła z basenu!

Oburzony do żywego pan Kowalski zerwał się na równe nogi i mimo osłabienia z furją zaatakował dyżurnego ratownika.

— Po co tu lebiego sterczysz!

Ratownik nie raczył nawet odpowiedzieć, spojrzawszy pogardliwie i wskazał ręką na napis, wiszący nad całym basenem: „Każdy pływca na swoją odpowiedzialność”.

Tępo było już za wiele panu Kowalskiemu, postanowił opuścić niegościnną Sarmację, ale przed daleką podróżą należało się pożywić. Nasz podróżnik już dawno stracił swoją sfrustrowaną pewność siebie i do lokalu kategorii I „Raj” wkraczał z pewnymi wątpliwościami natury filozoficznej.

Po przestudiowaniu karty i wysłuchaniu kilkakrotnie: „kolega”, zamówił pieczeń cielęcą. Czekał tak długo, że nabrał pewności, iż młodociane bydlatko ugania się jeszcze po pastwisku. W końcu kelner przyjął zamówienie. Wściekłe głodny pan Kowalski zaatakował pieczeń widelcem i nożem, lecz ku swej rozpaczy stwierdził, że narzędzia te na nic się nie zdają. Pieczeni nie udało się pokonać ani z nienacka ani na siłę. Coraz bardziej rozdrażniony — wlał do niego jak gorący olej — zaczął krzyknąć: „Kolega, kolega”, aż ze zdumienia rozdzierał usta i zniknął. Po chwili przyniósł księgę, na której stało jak byk: „Księga pa-

miętkowa”. Gorycz ścisnęła wroczek pana Kowalskiego, nie opuścił go jednak rozpaczyliwy humor i wpiął do książki:

„To była cielęcina? To był wół, co zapomniał jak cielęcim był”.

Całkowicie zadowolony ze swego konceptu pan Kowalski opuszczał lokal z lekkim sercem. To samopoczucie zepsuł mu jednak napis na ścianie lokalu, który zbyt późno zauważył: „Szef kuchni nie odpowiada za jakość potraw”.

Dziwna to kraina — medytował pan Kowalski — nikt za nic nie odpowiada. Sprawę postanowił wyjaśnić u odpowiednich czynników. W ratuszu z uwagą lusztował napisy informacyjne na drzwiach w poszczególnych działach. Nigdzie jednak nie znalazł biura skarg i zażaleń więc najodpowiedniejsze wydało mu się „Biuro pochwał i podziękowań”.

Urzędnik, który na niego nie zwracał uwagi po oracji pana Kowalskiego syknął:

— Tylko obywatelu nie sarmatać. Jesteś w urzędzie, a ja jestem przedstawicielem władzy. U nas nie ma odpowiedzialności? Dobrze to. U nas jest odpowiedzialność zbiorowa! Zrozumiano?!

Był to klasyczny spór o wychowanie jedynaka, który z wiadomych powodów znikł nagle z rodzicielskiego domu. Powiedzmy, że to właśnie pan Kowalski nieduwzmacznie oskarżał żonę:

— Twój liberalizm go zdeprawował!

— Byłeś dla niego za surowy, przecież to dziecko. Jak będzie starszy to zmańdrzeje — broniła jedynaka małżonka.

Dyskusja jednak nie mogła zmieścić faktu, że Stasiak znikł, ponieważ nie wykazywał zbyt wielkich postępów w nauce, a ojciec obiecywał, obiecującemu synkowi pomoc, aby lepiej nauka trzymała mu się głowy,

Zdarzenia tygodnia

18 bm. w sali WDK odbył się koncert rzeszowskiej Państwowej Orkiestry Symfonicznej, którą dyrygował Stanisław Michalek, dyrektor Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Opolu i I jej dyrygent. Orkiestra wykonała Symfonię G-dur A. Dwořzaka i Baśnię A. Lianowa. Na program koncertu złożyły się również występ Igora Iwanowa, I koncertniestra Filharmonii Narodowej w Warszawie, który grał Koncert skrzypcowy d-moll H. Wieniawskiego.

W Iwonie-Zdroju odbyła się zorganizowana przez ZW ZMW przy współpracy z Wojewódzką i Miejską Biblioteką Publiczną w Rzeszowie kurso-konferencja kierowników punktów bibliotecznych przy klubach rolniczych i klubach książki i prasy „Ruch”. Uczestnicy szkolenia zapoznani zostali z zagadnieniami, dotyczącymi polskiej oraz obcej literatury współczesnej, wysłuchali omówień wybranych pozycji z literatury światopoglądowej, technicznej i rolniczej. Odbyły się również wykłady i ćwiczenia z zakresu pracy z czytelnikami oraz spotkania autorskie z Bogdanem Loeblem.

Wykładem nt. „Znaczenie przeżytych estetycznych chwila” prof. Włodzimierz Hodys zainaugurował w dniu 22 bm. w rzeszowskim Domu Sztuki cykl edycyjny na temat plastyki. Kolejne wykłady poświęcone problemom plastyki XX wieku odbywać się będą we wtorek o godz. 18. Zainteresowanym podajemy tematy: „Fowizm i jego założenia” (29 XI), „Marzenia kubizmu” (6 XII), „Eksploatacja podświadomości w plastyce” (13 XII) i „Magia sztuki Paula Klee” (20 XII).

Członkowie działającego przy WDK Dyskusyjnego Klubu Filmowego spotkali się 17 bm. z Jerzym Hoffmanem, reżyserem filmów „Prawo i pieśń”, „Gangsterzy i filantropi”, „Trzy kroki po ziemi”. Uczestnicy spotkania obejrzeeli krótkometrażówki „Tor” i „Pocztówki z Zakopanego” jego reżyserii. Jerzy Hoffman mówił o swoich doświadczeniach z pracy reżyserskiej z uwzględnieniem zagadnień filmu fabularnego i dokumentalnego oraz o przygotowaniu do ekranizacji „Pana Wołoszowskiego”.

22 bm. w Wojewódzkim Domu Kultury rozpoczęła się szkolenie kierowników poradni i instruktorów bibliotek repertoriowych powiatowych domów kultury i powiatowych ośrodków instrukcyjno-metodycznych z zakresu prowadzenia księgozbioru i uświadczeń wartościowych pozycji. Szkolenie będzie się odbywało co kwartał.

z pomocą starej metody wychowawczej — pasą.

Święci pańscy, co się działo na drugi dzień w domu państwa Kowalskich. Od cioci, z pobliskiej miejscowości przyszedł telegram: „Stasiak umarł”.

Zrozumiała była rozpacz rodziców. Pan Kowalski tylko z trudem opamonał się, aby załatwić niezbędne formalności. Na szczęście zakład pogrzebowy nie wykonywał planu i odpowiednia trumienka znalazła się na składzie. Pan Kowalski zakupił również wieńce i kwiaty. Należało też coś niecoś uzupełnić garderobę, stosownie do okoliczności. Wkrótce państwo Kowalscy wyruszyli w smutną podróż do siostry.

Drzwi otworzyła ciocia. Na widok jednak niezwyklej gości, w zabobnych strojach z wieńcami, zaskoczona tą niespodzianką, dostała ataku serca. Pan Kowalski zajął się siostrą, a pani Kowalska widząc na marach jedynaka poszła w ślady cioci. Krzyk i rumor wywołał istny cud. Młody nieboszczyk zmartwychwstał i jak oparzony zerwał się na równe nogi domyślając się, że prawdopodobnie ojciec przyjechał z pomocą naukową, aby mu co nieco wbić do głowy. Ten cud nie najlepiej znowu wpłynął na ojca, który również zaczął ślabnąć.

Trudno opisać co działo się w mieszkaniu cioci. Ta, stanowczo i oficjalnie zażądała wyjaśnień, co ma oznaczać maskarada i głupie żarty. Pan Kowalski, który oprzytomniał się na telegram i oburzony zaprotestował również przeciw tak grubym żartom. Prawdopodobnie doszłoby do rodzinnej awantury, gdyby nie pani małżonka, która widząc żywego jedynaka, znowu zasłabła. Koniec końcem, ciocia wyjaśniła, że owszem nadała telegram, ale tekst brzmiał: „Stasiak u nas”.

P. S. Epilog tej sprawy znalazł się na wokandy sądowej. Warto jednak dodać, o czym my też nie wiedzieliśmy, że „począta nie odpowiada za przekłamania w telegramie”. To się nazywa odpowiedzialność zbiorowa. Radzimy więc nie oszczędzać na telegramach.